DĄBROWSKA ◆ LEC ◆ GARAUDY ◆ ZAWIEYSKI ◆ PRUSZYŃSKI ◆ KUCZYŃSKI

Cena 25 zł

CZYTELNIK

ODRODZENIE

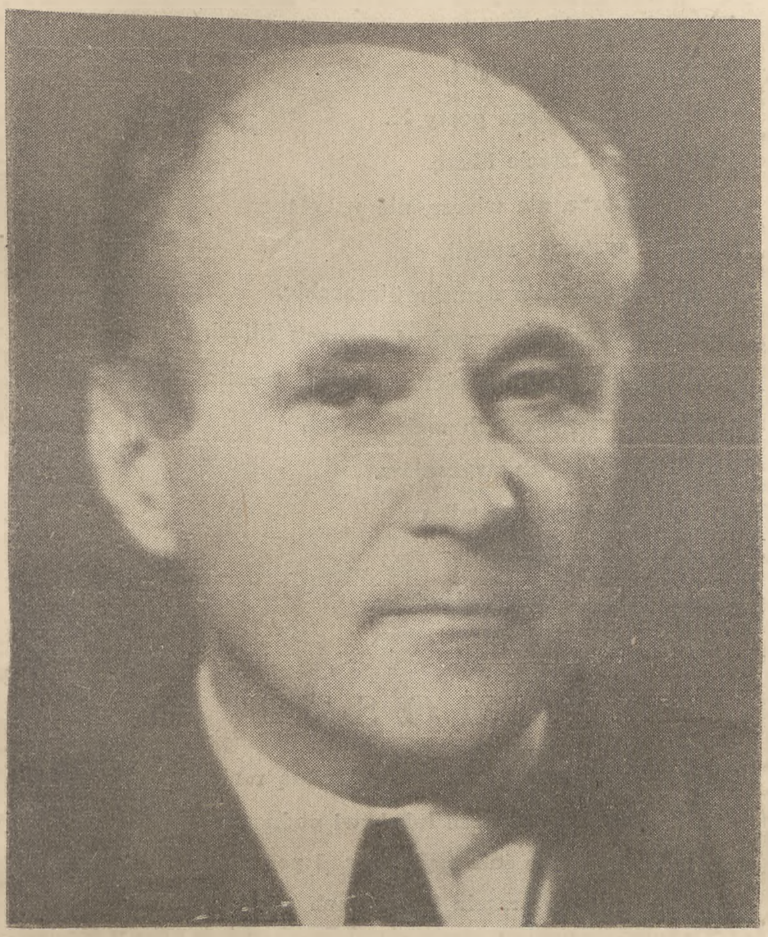
TYGODNIK

Nakład 30.000
Redakcja Oszyńskiego 16
Administracja Oszyńskiego 14

Rok V — Warszawa, dnia 7 marca 1948 r. — Nr 10 (171)

JAN PARANDOWSKI

WSPOMNIENIE O JERZYM KOWALSKIM



Jerzy Kowalski

Dziwię się sobie w tej chwili i tym słowom, które mam napisać. Jest to dojmujące, bolesne zdziwienie. W ciągu naszej wieloletniej zażyłości (mimo że nigdy nic nie żądał ode mnie) mogłem sobie wyobrazić różne sytuacje, do których zmusi mnie pełna niespodzianek natura mojego przyjaciela, ale nie podobna mi było pomyśleć, że zza grobu wezwie mnie, bym mówił o nim jako o umarłym. I żeby to było właśnie w okresie, kiedy z radością patrzyłem, jak umysł jego nabrał nowych sił, większych niż kiedykolwiek!

Jerzego Kowalskiego znałem od roku 1920. Wtedy zjawił się we Lwowie. Było posiedzenie Towarzystwa Filologicznego. Nie pamiętam, kto i o czym miał referat, niezapomniany był natomiast moment, gdy w dyskusji zabrał głos nieznajomy młody człowiek niewielkiego wzrostu. Mówił bardzo prędko akcentem krakowskim, często przymykał oczy i wtedy szybkie słowa biły zawrotną kaskadą. Zdumiał wszystkich znajomością przedmiotu, sypał datami, bibliografią, zaćmił prelegenta i zagłuszył go nawet w naszych wspomnieniach. Wszyscy byli ciekawi: kto on i jak się nazywa. Imię Kowalskiego krążyło w szeptach do końca posiedzenia.

Jak mi się zdaje, nie był jeszcze habilitowany, przez pewien czas wahał się nawet między filologią a archeologią klasyczną. Z tej ostatniej miał ciekawą rozprawę, wykonaną w seminarium prof. Bieńkowskiego, a drukowaną w jednym z wojennych zeszytów „Eos", rozprawę o epinetron, staranne, naukowe wyjaśnienie drobiazgu z życia antycznego. Upodobanie do archeologii nigdy go nie opuściło, przejawiało się w jego podróżach po ziemi klasycznej, gdzie czujnie i wnikliwie rozpatrywał ruiny. I takim go widzę w naszych wspólnych przechadzkach po Rzymie zwłaszcza w ów dzień, kiedy zazdrośni Włosi zdecydowali się pokazać nam podziemne odkrycia na Palatynie, od dwudziestu lat wciąż nazywane „nuovi scavi"

Kowalski przyszedł z Krakowa, gdzie się wychował pod kierunkiem Morawskiego i Sternbacha, ja zaś jeszcze nie ukończyłem swoich studiów. W murach uniwersyteckich spotykaliśmy się rzadko, najczęściej na ulicy i odprowadzaliśmy się nawzajem po kilka razy, w jedną i drugą stronę, od jego pensjonatu na Batorego do mojego domu na Domsa. Początkiem tej zażyłości były moje troski wydawnicze. Będąc kierownikiem literackim u Altenberga, pragnąłem stworzyć bibliotekę monografii z historii kultury, i opracowanie pierwszego tomu, o Grecji, zaproponowałem Jerzemu Kowalskiemu. Odpowiedział, że może by miał „coś w tym rodzaju" i obiecał mi pokazać. Był to spory plik kartek arkuszowych, wiele ponad setkę. Zawierał obraz cywilizacji greckiej, z którego odczytał mi kilka fragmentów. Były one tak świetne, tak pełne werwy, tyle w nich było świeżości, że nie mogłem sobie wyobrazić, by coś równie dobrego dało się znaleźć dla mojej kolekcji. I już sięgnąłem po rękopis, by go nazajutrz oddać do druku. Lecz Kowalski wsunął go z powrotem do szuflady. Mówił, że trzeba jeszcze na jakiś czas odłożyć. Ten czas rozciągał się na lata, książka się nie ukazała, a ów plik kartek, znacznie pomnożony, z doklejonymi odsyłaczami, znalazłem teraz w jego papierach. Przesadnymi skrupułami prof. Kowalski wielu swoim rękopisom zamykał drogę na świat.

W rozmowie tak lekki, w całym zachowaniu tak niefrasobliwy, był wzorem rzetelności naukowej i nawet drobiazgom stawiał wysokie wymagania. Było to wiadome filologom, którzy pilnie śledzili każdą jego pracę w rocznikach czasopism, w rozprawach Akademii, zawsze odkrywcze, oryginalne, niekiedy rozstrzygające, pisane nieskazitelną łaciną. Dotyczyły przedmiotów trudnych i raczej niepowabnych, zagadnień z historii retoryki lub hydrografii antycznej. W czasach, kiedy je podejmował, patrzyłem nań zgorszony i próbowałem go wytrącić z toru, który wydawał mi się za ciasny i niewłaściwy dla jego bujnej indywidualności. Uważałem to za zdrożny upór. Poznałem jednak swój błąd, albowiem rozumowałem jak literat, nie jak filolog. Właśnie w tym pozornie uszczuplającym wyborze, przejawiła się niezależność jego umysłu: chciał nie tylko siebie, ale i swoich uczniów wprowadzić na pole, które byłoby ich suwerenną domeną. I tak się stało. Jego prac o retoryce nie wolno już dziś przeoczyć w żadnym środowisku naukowym.

Ich ukoronowaniem jest edycja dziełka Hermogenesa, retora z czasów Marka Aurelego, które stało się ulubionym i nieodstępnym podręcznikiem retoryki na długie wieki. Dla mnie ukazanie się tego tomu było jakby osobistym tryumfem. Ileż to razy, w różnych odstępach czasu, zastawałem śp. Kowalskiego ze szkłem powiększającym, pochylonego nad fotografiami rękopisów, nadsyłanymi mu z bibliotek europejskich, które badał, porównywał, w których wyławiał odmiany tekstu! Wspomnienie tych momentów odnajduję, ilekroć spojrzę na Hermogenesa i zapuszczę się w gęstwinę przypisków, wyglądających jak algebra. Nie jest to dowolna metafora. Edycja Hermogenesa należy właśnie do tych pomników wiedzy i metody, w których filologia rywalizuje z naukami ścisłymi.

Zaczęta przed laty we Lwowie praca o Hermogenesie ukazała się we Wrocławiu jako pierwszy zeszyt publikacji Wrocławskiego Towarzystwa Naukowego, którego prof. Kowalski był najczynniejszym współtwórcą. Na wstępnej stronicy widnieje krwawy znak naszej epoki: epitafium dwudziestu czterech profesorów i docentów Uniwersytetu, Politechniki, Akademii Weterynarii, Wyższej Szkoły Handlu Zagranicznego, zamordowanych przez gestapo we Lwowie 4 lipca 1941 roku wraz z 95 członkami swych rodzin. Dostojna łacina, przetkana purpurą poezji greckiej, daje tej stronicy monumentalność starożytnych inskrypcji, jakbyśmy patrzyli na głaz pamiątkowy dla ofiar terroru, bratni tym pomnikom Rzymu, które na wieki utrwaliły klątwę, rzuconą na gwałt i zbrodnię. Obywatelska, heroiczna dusza Jerzego Kowalskiego nie znalazła nigdy pełniejszego wyrazu, jak w tej karcie, która do wielu pokoleń, pod każdą szerokością geograficzną, mówić będzie o okrucieństwach naszych losów.

Na egzemplarzu „Hermogenesa" skreślił mi Kowalski jesienią zeszłego roku, w ostatnią jesień swego życia, te słowa: „Drogiemu Janowi — to co ja mogę". — TO co ja mogę! Jeszcze raz — ostatni — tak mi znanym wzruszeniem ramion zlekceważył dzieło swojego trudu i zapału. A kryje się tu nie tylko wielka zasługa uczonego, ale i tryumf dyscypliny naukowej nad temperamentem pisarza, artysty i myśliciela, jaki wrzał w Kowalskim, przeznaczając go do essayów, do pięknej prozy, do lotnych aforyzmów. Dał ich mniej, niż mógł i niż powinien, ale dość, by wypróbować na nich nasz sąd o jego sztuce pisarskiej. Była ona wysokiej klasy. W każdym szczególe widziało się bystre i nieomylne oko obserwatora, w każdym zdaniu splot wyrazów, jak lasso chwytających myśl i obraz. Nieznużony badacz retoryki, sam nie znosił patosu i nie był zdolny do równej kadencji zdań. Albo może byłby do niej zdolny, gdyby nałożył przymus swej porywczej naturze, lecz nie widział powodu, by iść na przekór skłonnościom swego ruchliwego umysłu, a i nie przyniosłoby to żadnej korzyści.

W ostatnich czasach ogłosił kilka essayów, jak „Pieśń u Teokryta" w czasopiśmie „Eos", którego był redaktorem i które podniósł do dawno zapomnianej świetności, albo „Horacy", drukowany w „Meandrze", albo parę z tych, jakie ukazały się w „Zeszytach Wrocławskich", zwłaszcza niepospolity essay pt. „Człowiek" Jakże ożywczy, elektryzujący jest ten prąd myśli — wartki, biegnący w niespodzianych zakrętach, eksplodujący paradoksami i aforyzmami! W tematach, dotyczących antyku, miało to zawsze szczególny urok, albowiem nigdzie tak jak tu nie panuje tendencja do zakrzepłości i martwoty w raz ustalonych sądach, które obrastają namaszczeniem i zwodniczym patosem.

Gdy teraz odwracam ponownie te znajome stronice, nasuwa mi się porównanie z Nietzschem, który był nie tylko filozofem, ale i niepoślednim filologiem. Lecz nie wiem, jakby Kowalski przyjął tę parantelę, a nie przypominam sobie, byśmy kiedykolwiek rozmawiali o autorze „Narodzin tragedii". I to mnie powstrzymuje od dalszych porównań, gdyż nie chciałbym tu żadnym słowem uchybić skłonnościom i upodobaniom mojego przyjaciela. Jego styl odpowiadał jego temperamentowi, tak pociągającemu w wykładach i seminariach, niczym nie zagłuszonych w pamięci jego licznych uczniów z trzydziestu lat profesury. Jeszcze świetniejszy był w rozmowie. Nie cierpiał banałów, oklepanek, utartych opinii, i zawsze śpieszył zająć stanowisko przeciwne, nawet wtedy, a może: zwłaszcza wtedy, gdy się zgadzał z rozmówcą. Była mu potrzebna taka próba sprzeczności, by się utwierdzić, że w jakiejś fałdce sądu nie zataił się fałsz. Co wyglądało na przekorę, było wyrazem rzetelności intelektualnej.

Należy odrzucić ten przymiotnik, ponieważ rzetelność cechowała wszystkie jego czyny i prace. Była ona tak wielka i tak wymagająca, że musiał stać się jej ofiarą. Nigdy nie pozwolił sobie na odpoczynek, dopóki rzecz, która miała być zrobiona, nie została wykonana z precyzją w najdrobniejszych szczegółach — czy szło o korektę czy organizację wydziału humanistycznego, którego był pierwszym dziekanem w nowym uniwersytecie wrocławskim. Ci, którzy go widzieli, którzy z nim pracowali w ostatnich paru latach (pełnił również ciężkie funkcje prorektora), zachowują dlań podziw i uwielbienie. Jak sami mówią, było coś królewskiego w namiętnej szczodrobliwości, z jaką rzucał swe dni i noce murom, zakładom, bibliotekom, wydziałom, towarzystwom, publikacjom nowego ośrodka nauki.

Niemal do ostatniej chwili zdobywał się na wykłady i pożegnał się ze swoimi słuchaczami nad Horacym, poetą szczególnie mu bliskim. Śp. Kowalski zajmował katedrę latynistyki, ale świat łaciński nie był głównym tematem jego prac, raczej znikał wśród przedmiotów greckich, którym oddał najwięcej serca. Grecja miała dlań urok, jakiemu Rzym nie mógł sprostać. W Grecji czuł się po prostu szczęśliwy, jego listy stamtąd, fotografie są promienne. Przemierzył ją wzdłuż i wszerz, zaglądał do trudnych ustroni, zwiedził wiele wysp greckiego archipelagu. Nie zaniedbywał zresztą i ziemi italskiej, gdyż nie należał do owych filologów, którzy tę konieczność opędzają parotygodniową wycieczką, aby nadal karmić się książkami, mapami i rycinami. Jego wyobraźnia zawsze łaknęła konkretów i osobistego przeżycia.

Miał żyłkę podróżniczą. Był i w Hiszpanii, i we Francji, i w Anglii — nie jeden raz, spragniony krajów starej kultury, odrębnych obyczajów. Kiedyindziej pasja naukowa zatrzymywała go na długie miesiące w miejscu tak obojętnym jak Lausanne. Wędrował tam parokrotnie, by zbierać resztki, echa, wspomnienia wykładów Mickiewicza, i przetrząsać ich źródła. Była to edycja, przeznaczona do sejmowego wydania, arcywzór rekonstrukcji i wprowadzenia w ten mało znany okres życia intelektualnego poety, który przez rok był profesorem literatury łacińskiej. Żywoty wielu uczonych kryją w sobie jakąś bolesną przygodę, podobną do tej, jaką był dla Michała Anioła pomnik Juliusza II. Taką przygodą w życiu prof. Kowalskiego było wydanie wykładów lozańskich Mickiewicza, pasmo niekończących się targów i zatargów z redakcją Dzieł Zbiorowych, z tym smutnym rezultatem, że ta praca dotychczas nie została opublikowana.

Te różnorodne doświadczenia wsączały się nie tylko w jego żywą, bogatą, świeżą interpretację antyku, ale i w obraz współczesnego świata, z którym się zmagał w powieściach, pisanych razem z żoną: „Mijają nas", „Złota kula", „Gruce". Nieraz patrzyłem z bliska na tę wzruszającą współpracę, są w niej rozdziały, które zawsze przynoszą mi zapach i barwę minionych dni. Te książki nie zostały w swoim czasie rozważone i ocenione według swej zasługi, powinny zająć jakiegoś wytrawnego krytyka i w nowym wydaniu wrócić do obiegu księgarskiego.

Los łączył nas i rozdzielał nieustannie. Chował zaś dla nas i tę niespodziankę, że spotkaliśmy się po wojnie jako koledzy na dwu różnych katedrach w tym samym Uniwersytecie Katolickim. Przez kilka miesięcy ś.p. Kowalski wykładał o św. Augustynie. Ze wzruszeniem zastawałem go nad tomem „Confessiones", tych samych „Wyznań", które przylgnęły do naszych najdawniejszych wspomnień z czasów, kiedy opracowywał do nich wstęp i komentarz. Potem odszedł do Wrocławia. Ubiegłego jednak lata spędziliśmy razem tydzień na Dolnym Śląsku. Był już chory, ale nigdy nie wydał mi się równie świetny w myślach, w polocie, w intelektualnym obcowaniu ze światem. U brzegu stawu, iskrzącego się słońcem i śmiechem chłopców w cieniu brzóz, chybkim słowem przebiegał ulubione okolice historii i poezji. Tylko humanizm może określić nastrój tych godzin

Wyraz dziś mocno postrzępiony w omłocie frazesów. Lecz co jest zastanawiające to fakt, że wypowiadając tak często wyraz: humanizm, prawie nigdy nie wymienia się wyrazu: humanista. Zdaje się, że ten drugi wyraz jest bardziej oporny na przeobrażenia. Niewielu znajdzie się ludzi, na których on dobrze leży. Jerzy Kowalski był humanistą, a nie przypominam sobie, by się kiedykolwiek podstawiał pod ten tytuł, mam nawet niejasną obawę, żeby go odrzucił. Brzydził się wszystkimi tytułami, bo każdy ma w sobie sztywność hieroglifu. Jego humanizm był daleki od szkolnej ikonografii tego pojęcia, był bowiem tej samej rasy co humanistów Quattrocenta — burzliwy, wybuchowy, namiętny, sceptyczny, drwiący, pełen śmiałej wyobraźni, wezbrany sokami bieżącej doby i niepokojem naszego stulecia.

Powtarzano mi majaczenia, nawiedzające go w ostatnich dniach życia, w tych okropnych dniach, które już nie różniły się od nocy, ponieważ oślepł — majaczenia, przetkane krwawymi nićmi naszych tragicznych czasów. Umarł tak jak żył — wpleciony w koło wspólnej doli swojego wieku i swojego narodu, nigdy nie uchylając się ani od obowiązku, ani od cierpienia, nie szukając dla siebie cienistej i zacisznej ścieżki, z dala od wielkiej żmudnej drogi.

Jan Parandowski

PISARZE NA FRONT!

Pierwsze zwiady na wsi

Związek Zawodowy Literatów Polskich, Redakcja »Odrodzenia« oraz Instytut Kulturalno-Oświatowy „Czytelnika" ogłoszą w najbliższym numerze pisma dobrowolną

MOBILIZACJĘ

pisarzy na pierwsze zwiady i pierwsze żywe spotkanie z nową wsią polską i nowym czytelnikiem.

KOMUNIKAT I

SPOTKANIE AUTORÓW Z CZYTELNIKAMI

Od dn. 15.X.47 r. do 31.I.48 r. odbyło się w Polsce 117 wieczorów czytelnikowskich, spotkań autorów z czytelnikiem. Udział wzięło 18 autorów i 41.219 czytelników.

AUTORZY:

Andrzejewski Jerzy, Bąk Wojciech, Brzechwa Jan, Dąbrowska Maria, Dobraczyński Jan, Dobrowolski Ryszard, Gałczyński Konstanty, Breza Tadeusz, Broniewski Władysław, Gołubiew Antoni, Iwaszkiewicz Jarosław, Kurek Jalu, Malewska Helena, Meissner Janusz, Morcinek Gustaw, Rusinek Michał, Wiktor Jan, Żukrowski Wojciech.

MIEJSCOWOŚCI:

Warszawa, Grójec, Pruszków, Grodzisk, Siedlce, Radzymin, Otwock, Łódź, Kalisz, Zduńska Wola, Sieradz, Lublin, Zamość, Szczebrzeszyn, Tomaszów Lub., Opole Lubelskie, Gdynia, Sopot, Starogard, Słupsk, Malborg, Tczew, Bydgoszcz, Włocławek, Toruń, Grudziądz, Świecie, Chojnice, Chełmno, Człuchów, Szczecin, Koszalin, Stargard, Świnoujście, Golęcin, Stołczyn, Poznań, Września, Zielona Góra, Gostynin, Oborniki, Ostrów, Nowy Tomyśl, Śrem, Skwierzyna, Szamotuły, Międzyrzec, Katowice, Opole, Strzelec, Raciborz, Prudnik, Zawiercie, Nowa Wieś, Dobrodzień, Gliwice, Sosnowiec, Bytom, Kraków, Lubcza, Jodłowa, Chrzanów, Jasło, Miechów, Myślenice, Wieliczka, Olkusz, Wrocław, Wałbrzych, Legnica, Kłodzko, Świdnica.

PAMIĘCI SERGIUSZA EISENSTEINA



Eisenstein według linoleorytu Pierra Flouquet

Sergiusz Eisenstein nie żyje. Kinematografia radziecka poniosła ciężką stratę.

Mija właśnie 25 lat, jak Eisenstein nakręcał swój pierwszy film „Strajk". Była to śmiała praca młodego artysty, który, odrzuciwszy przestarzałe formy i kanony przeszłości, otwierał filmowi nowe drogi i nowe założenia. Eisenstein stworzył ciekawy film, obierając za bohatera rewolucyjną klasę robotniczą w walce o szczęście narodu. Już ten film pozwolił uznać w Eisensteinie nieprzeciętnego reżysera.

Drugim dziełem Sergiusza Eisensteina był „Pancernik Patiomkin". Film ten omawiały na zebraniach szerokie masy społeczeństwa, oceniając go jako poważne osiągnięcie kinematografii radzieckiej. „Patiomkin" odbył potem zwycięski pochód przez ekrany wielu krajów i na wszystkich krańcach świata rozsławił młodą kinematografię radziecką. „Patiomkin", który prawdziwie i żywo przedstawił pierwszą rewolucję rosyjską 1905 r., nie tylko wywarł głęboki wpływ na radzieckich mistrzów filmu, stał się również bardzo ważnym czynnikiem w pracy wszystkich postępowych reżyserów filmowych za granicami ZSRR.

Nie będzie to przesada, jeśli powiem, że „Patiomkin" przyniósł Eisensteinowi światowy rozgłos.

Potem przyszedł „Październik", „Stare i nowe", wspaniały „Aleksander Niewski" i pierwsza seria „Iwana Groźnego", filmy, które ostatecznie wyznaczyły mu miejsce czołowego, oryginalnego artysty, nowatora i bojownika o demokratyczną, postępową sztukę filmową.

Zwracając się ku pamiętnym drogowskazom historii z życia swego narodu, Eisenstein umiał wskrzesić na ekranie to, co najistotniejsze i najbliższe radzieckim ludziom, to, co było odbiciem ich myśli, pojęć i przekonań.

Sergiusz Eisenstein rozwijał też szeroką działalność społeczną. Wykładowca i profesor państwowego instytutu filmowego, kierownik gabinetu historii filmu na Akademii Nauk w ZSRR, Eisenstein napisał wiele artykułów i książek, w których scharakteryzował właściwości i założenia radzieckiej sztuki filmowej. Śmierć przerwała jego zaczęte studia nad twórczością Puszkina i Gogola. Nie dokończył również przygotowywanych prac „O reżyserskiej sztuce filmowej", „O teorii kolorowego filmu", „O teorii montażu".

Sergiusz Eisenstein był to nie tylko niezwykle zdolny, ale i niezwykle wykształcony człowiek. Biegle władał kilkoma językami i zgromadził olbrzymią bibliotekę rzadkich dzieł z zakresu historii sztuki i literatury we wszystkich językach świata.

Był moim nauczycielem i przyjacielem. Zetknęliśmy się jakie trzydzieści lat temu w moskiewskim robotniczym teatrze „Proletkulta". Potem przepracowaliśmy wspólnie z górą piętnaście lat. Byłem początkowo jego uczniem, potem pomocnikiem, współautorem i współreżyserem jego „Października" i „Starego i nowego".

Piętnaście lat współpracy z wybitnym artystą było dla mnie dobrą szkołą. Potem odszedłem własną twórczą drogą.

Moja przyjaźń z Eisensteinem nie osłabła do ostatnich dni jego życia — zawsze uważnie i życzliwie śledził moją pracę w filmie.

Nie ma już Sergiusza Eisensteina. Umarł w pięćdziesiątym pierwszym roku życia za swoim biurkiem, nie zdążywszy dokończyć zaczętego zdania. Pamięć o nim na zawsze pozostanie w naszych sercach.

Grigorij Aleksandrow

MARIA DĄBROWSKA

mówi o „Nocach i dniach"



rys. *Anna Linke*

Maria Dąbrowska

Maria Dąbrowska wita serdecznie, bezpośrednio, bardzo po prostu.

Za chwilę siedzimy naprzeciw siebie. Rozmawiamy o sprawach odległych od literatury — o stanie zdrowia, zamierzonym wyjeździe pani Marii do Wrocławia, o piciu kawy, której wolno wypić jedną filiżankę na dzień i o paleniu papierosów, których palić nie wolno. Potem o wspólnych znajomych — w końcu o wielkiej i bolesnej stracie — śp. Jerzym Kowalskim. Maria Dąbrowska opowiada o jego pracach. Ja go pamiętam jeszcze jako nauczyciela. Uczył nas greki w trzecim lwowskim gimnazjum.

W końcu wybieram najlepszą — wydaje się — strategicznie chwilę, stosowny moment. Pytam o „Noce i dnie".

— Jestem raczej niesklonna, a może tylko niezdolna do tych intymnych wynurzeń. Zresztą „Noce i dnie" były tyle razy „wywiadowane". Chciałabym, żeby to sobie już poszło samo — beze mnie....

— Tak, ale widzi pani — nowe wydanie powieści czytać będą nowi ludzie, są ciekawi...

— Tak, to prawda... Nowe rzesze czytelników są ciekawe... Zwłaszcza samego autora... Jakby dopiero przez jego osobę, jego życiorys interesują się dziełem... Ale poznaję, że to jest dobra, może jedyna droga do zainteresowania literaturą najszerszych i nie całkiem jeszcze obytych z książką artystyczną czytelników. U miłośnika literatury bardziej wytrawnego proces jest odwrotny... Dopiero zasmakowawszy w dziełach zaczynają się interesować ich autorem...

— Pani powiedziała „teraz poznaję"... Czy to wnioski z jakichś ostatnich doświadczeń?

— Tak. Odbyłam niedawno „raid odczytowy", zorganizowany przez „Czytelnika". Byłam w Pruszkowie, Turku, Łęczycy, Kutnie, Kaliszu i Łodzi. Cieszyłam się wszędzie nie tylko ogromnym, ale naprawdę serdecznie usposobionym audytorium. W Łęczycy ku mojemu żalowi wiele osób odeszło od kasy, nie mogąc się już w sali kina pomieścić. W Kaliszu, mieście mojego dzieciństwa, miałam teatr wypełniony do ostatniego miejsca; było blisko 900 osób. Człowiek czuł się w takiej chwili potrzebny, starałam się też mówić o rzeczach najbardziej istotnych w sposób najbardziej zrozumiały. Ale najbardziej dla mnie nieoczekiwana była serdeczność, z jaką przyjęła mnie Łódź. I otóż wszędzie pytano mnie i o moją biografię, i o moje utwory, zwłaszcza najwięcej o „Ludzi stamtąd" i o „Noce i dnie".

— Może by pani także i czytelnikom „Odrodzenia" zwierzyła pewne ciekawostki, okoliczności powstania „Nocy i dni", narodzenie się pomysłu?...

— Mówiłam już o tym nieraz przy pierwszych wydaniach dzieła. Gdybym była pisarzem dowcipnym, układałabym za każdym razem inną historyjkę. Nie stać mnie na to, więc powtórzę prawdę. Zamysł powieści powstał przy końcu pierwszej wojny światowej. Znalazłam też wtedy nazwisko Niechciców. Przyjechał przed sklepik wózek z paczkami drożdży. Na opakowaniu był napis: „Niechcice".

Jest to znana fabryka drożdży. Nim jednak przystąpiłam do „Nocy i dni", napisałam „Uśmiech dzieciństwa" i „Ludzi stamtąd". Pierwszy szkic „Nocy i dni" napisałam w r. 1926. Wiedziałam wtedy na pewno, jaki będzie początek i koniec powieści. Jako dowód niech posłuży fakt, że kiedy w grudniu 1930 r. wyszedł pierwszy tom „Bogumił i Barbara" (a i drugi też był — nawet przed pierwszym — gotowy) — miałam już zupełnie ukończony — w jego obecnej formie, ostatni rozdział powieści (w którym to Barbara jedzie w nieznane). Czytałam nawet wtedy to zakończenie w Konserwatorium na zbiorowym wieczorze autorskim.

— Jak długo trwała praca nad całością powieści?

— Pisałam przez siedem lat — od roku 1927 do lata 1934.

— Czy byłaby pani łaskawa powiedzieć coś o topografii w „Nocach i dniach". Było to już przedmiotem rozważań krytyki. Jest pani przecież rodowitą kaliszanką?

— Niezupełnie kaliszanką. Moje strony rodzinne to Russów pod Kaliszem. Większość akcji „Nocy i dni" rozgrywa się istotnie w Kaliszu i jego okolicach — to prawda. Parandowski zarzucił mi, że źle zrobiłam, zmieniając nazwę Kalisza na Kaliniec. Gdybym dziś pisała, pewno zostawiłabym — Kalisz.

Wówczas istniały pewne wstydliwości wobec środowiska, z którego czerpałam „realia". Jeśli pan chce — przywróćmy w tym wywiadzie jeszcze parę innych nazw. Więc miasteczko Nieznanów — to Stawiszyn, Czałbów, to Koźminek. Pogórze to Chełmce. A jeszcze wróćmy do ulic Kalisza. Otóż jest tam ulica Babina, przez którą płynęła odnoga Prosny Babinka. Płynęła, bo proszę sobie wyobrazić, że Niemcy w czasie ostatniej okupacji zasypali Babinkę. Odtąd ta odnoga Prosny istnieje już tylko w drugim tomie „Nocy i dni", tam gdzie piszę, jak Bogumił i Barbara odwożą Agnisię na Dziadowe Przedmieście (tak nazywa się u mnie Babina) do szkoły.

Tu Maria Dąbrowska podchodzi do biblioteki i czyta mi krótki urywek.

— Jest także w Kaliszu — mówi po chwili — od wieków ulica Wrocławska i przedmieście Wrocławskie. Toteż nawet zmieniając w „Nocach i dniach" miano tej ulicy, zachowałam nazwę dolnośląską. Zowie się ona u mnie Raciborskie Przedmieście. Otóż teraz dowiedziałam się, że nazwę pierwotną zmieniono, tylko jakiś skrawek ulicy czy przedmieścia został przy dawnej nazwie „wrocławskiej". Zrobiono źle.

— Mówiła pani na wstępie, że pisarz odchodzi od swego dzieła, i że niechby już powieść pani poszła sobie sama. Prawda?
— Mówiłam.

— Czy nie zechciałaby się pani odwrócić jeszcze na chwilę i spojrzeć z d a l e k a na tych sto kilkadziesiąt postaci „Nocy i dni"? Jak powstały? Czy wierzy pani w swoją drogę plastycznej wizji, czy w intelektualne powołanie postaci do życia?

— Oczywiście, że postacie moje powstają jako widzenie plastyczne... Zresztą opinia moja nie jest miarodajna. Pisarzowi najtrudniej mówić o swym dziele. To pewna, że postacie, jak dzieci, rodzą się albo żywe, albo martwe. Martwe trzeba co prędzej pochować, żywe, trochę podchowane przez autora, wnet same zaczynają mówić, działać...

— A autentyczność postaci?

— Mogę tylko powiedzieć, że wszystkie są ze środowiska, które opisywałam. Zdarza się, że na jedną postać składa się kilka osób, lub też kilku bohaterów jest różnymi wariantami tej samej osoby.

— A stosunek do życia tych ludzi stworzonych przez panią?

— Niezależnie od daleko — zdaje się — u mnie posuniętej indywidualizacji charakterów — chyba mają one dwie postawy duchowe wobec rzeczywistości. Jedną współbrzmiącą z życiem, pozytywną — drugą — nie harmonizującą z życiem, poniekąd zamkniętą... Pisałam zresztą o tym.

Bogumił — to manifestacja pierwszej postawy, Barbara — drugiej. Ani jednej, ani drugiej postawy duchowej z góry nie potępiam i nie apoteozuję. Starałam się je badać z miłością i współczuciem... Patrzeć, jak nimi nacechowani ludzie dają sobie radę z tajemnicą istnienia na tym świecie. Czasem usiłuję zająć swoje stanowisko, pragnę doradzić im, podszepnąć, zasugestionować. Czasem stwierdzam epicko, że mimo uwag lub moich ostrzeżeń muszą iść fatalnie za swoim przeznaczeniem.

— Wydaje mi się, że postacie pani powieści żyją w perspektywie ogólnoludzkiej, nieśrodowiskowej. Pani pisze nie o chłopach i ziemianach, ale o ludziach i o pasjach ludzkich w ogóle. Stąd źródło syntezy życia, jaką daje pani w tych postaciach, stąd ich epicki spokój.

— Możliwe. A jednak mogę nie bez pewnej dumy podkreślić, że wszystkie moje utwory są mocno chociaż w sposób dyskretny osadzone w rzeczywistości społeczno-gospodarczo - politycznej, mimo że powstały na długo, zanim to hasło stało się na nowo modne. Powiadam „na nowo", ale to nie znaczy „na nowo po mnie". Bo i ja oczywiście nie jestem nowa. Wychodzę z tradycji XIX wieku, którego proza tak świetnie wiązała życie osobiste z życiem środowiska.

Przeskakuję nagle na inny temat.

— Daruje pani jedno pytanie? Czy jest coś prawdy we wpływie Galsworthy'ego na koncepcję pisarską „Nocy i dni", o czym swego czasu mówiono?

Pani Dąbrowska ożywia się. Z góry wiem, co odpowie.

— Nie! „Sagę rodu Forsytów" zaczęłam czytać latem roku 1935, w rok po wyjściu „Nocy i dni". Dotąd jej nie skończyłam. Ale to nieważne, bo w to i tak nikt nie uwierzy. Najtrudniej jest uwierzyć w prawdę. Tyle, jeśli idzie o „Noce i dnie" jako historię rodziny. Jeśli zaś idzie o tzw. „epos" dnia powszedniego i zwyczajnego człowieka, to możliwe że leżało ono w potrzebie czasu, skoro jednocześnie ukazało się po świecie kilka tego rodzaju powieści. Ale moje uwielbienie dnia powszedniego jest moje i trwa od lat najwcześniejszego dzieciństwa. Ja zawsze, proszę pana, kochałam życie. Było dla mnie wspaniałe i godne uwagi w najdrobniejszych przejawach. Chciałabym ze zwyczajności wydobywać najbardziej nadzwyczajną wartość i radość. A jeśli moja myśl artystyczna układa się w kategoriach niecodziennego patosu, to zawsze wynikiem tego jest dramat historyczny. Ale cóż — mówi pani Maria z melancholijnym uśmiechem — historia powszechna nie lubi moich dramatów.

— „Historia powszechna nie lubi pani dramatów"? — dziwię się.
Po chwili wahania świetna pisarka tłumaczy. Widać, że nie przychodzi jej to łatwo.

A tak, bo „Geniusz sierocy" wyszedł przed samym wybuchem wojny. Miał być grany w „Teatrze Narodowym" w marcu 1940 roku. Zawarłam umowę, dostałam zaliczkę, omawialiśmy już z dyrektorem Zelwerowiczem obsadę ról. Historia powszechna przeszkodziła. Drugi dramat „Stanisław i Bogumił", napisany w 1945 roku, został przyjęty przez wszystkie komisje repertuarowe, zakupiony przez dwa teatry: Polski i Wojska Polskiego, zapowiedziany przez prasę i programy Teatru Polskiego i... wycofany z obiegu. Podobno dlatego, że przedstawiłam w nim najazd czeskiego księcia Wratysława na Kraków. Zrobiłam go trochę w stylu najazdu niemieckiego. Więc była podobno obawa, że nasi pobratymcy Czesi się obrażą. Kiedy we Wrocławiu obiadowałam z czeskimi gośćmi — literatami, miałam z nimi na ten temat zabawną rozmowę. Ale to już przecie nie temat „Nocy i dni"...

Zaciekawiony, nalegam.
— Ale to należy do dziejów pani twórczości — więc może jednak?...
— Otóż prof. Krejczy (polonista na uniwersytecie praskim) zwrócił się do mnie z pytaniem: „Napisała pani dramat, w którym ma pani jakąś pretensję do naszego księcia Wratysława?" Trochę się wtedy spłoszyłam, ale odpowiedziałam: „Na pewno taką samą, jaką i wy macie do księcia Wratysława; to, że stał po stronie Niemców". Prof. Krejczy odpowiedział: „Mogę panią zapewnić, że w Czechach nikt nie miał, nie ma i nigdy nie będzie miał do pani pretensji o księcia Wratysława". Ucieszyłam się i podziękowałam prof. Krejczemu. Zapytałam, czy mogę w razie potrzeby powołać się na to zdanie, na co się zgodził. Odtąd nie wiem już, dlaczego mój dramat nie jest grany, mimo że wyszedł już dwa razy w druku: raz w „Twórczości", drugi raz w książce. Widać nie jest dość dobry. Ale nie przejmuję się tym zbytnio. Wystarcza mi, że ten utwór istnieje.

— Jeśli pani nie życzy sobie dalej mówić o swoich dramatach, wróćmy do „Nocy i dni"? Dzieło pani uważane jest przez niektórych za historię rozkładu warstwy ziemiańskiej...

— A przez innych za jej „łabędzi śpiew" — przerywa z humorem pani Dąbrowska. I to i to jest prawdą. Nie miałam oczywiście wyrozumowanego zamiaru przedstawić upadku ziemiaństwa. Ta sprawa jednak była we mnie i dlatego, choć niezamierzona — znalazła swój prosty, ludzki i — mam nadzieję — bezstronny wyraz. Muszę dodać, że nie ułatwiałam sobie zadania, pokazując zmierzch warstwy ziemiańskiej na uproszczonych czarnych charakterach, lecz pokazałam go na zwykłych przyzwoitych i nienajgorszych — ludziach. Zresztą zawsze interesowało mnie przesuwanie i przemieszczanie się warstw. Toteż w „Nocach i dniach" nikt nie pozostał na miejscu, na którym zastał go początek powieści. W Łodzi, w ożywionej dyskusji po moim odczycie, poruszano to zagadnienie, czy moja powieść została doprowadzona do końca. Ja twierdziłam, że wszystkie **artystyczne** wątki zostały rozwiązane, a jeśli tak, to i wszystkie inne strony dzieła zostały w zamierzonym zakresie wyczerpane. Spośród publiczności zaś padło zdanie, że społeczne wnioski i właściwe zakończenie „Nocy i dni" odbyło się na płaszczyźnie publicystyki obywatelskiej w książkach: „Rozdroże" i „Moja odpowiedź".

— A jak pani ocenia te różne opinie krytyków i szarego człowieka o „Nocach i dniach"?

— Znam tylko część tych opinii. Nie mogę się skarżyć na brak pochwał. Mam jednak wrażenie, że najistotniejsze cechy artystyczne moich utworów nie zostały dotąd należycie rozpatrzone. Nie wiem, co by z nich wyszło cało z takiej analizy. Ale pisarz nie tak drży przed zarzutami jak przed pochwałą zdawkową, lub mało trafną. Co do czytelników, to największą radość mi sprawia, że moja powieść zrozumiała jest prawie dla każdego. Czyta ją młodzież, czytają gdzieniegdzie chłopi.

W latach przedwojennych moja wydawczyni, pani Janina Mortkowiczowa, gromadziła listy czytelników i recenzje „Nocy i dni". Powstało z tego duże archiwum tej powieści, które jednak spłonęło całkowicie w czasie powstania.

— Czy może pani coś powiedzieć o kształtowaniu się swego języka literackiego, który sprawia, że jak na dobrze namalowanym przez kolorystę obrazie nie ma w pani prozie miejsc artystycznie obojętnych?

— Trudno na to odpowiedzieć. Nie umiem tych rzeczy ujmować. Mój język i moją polszczyznę zawdzięczam Wielkopolsce, gdzie się wychowałam. Z wykształcenia jestem przyrodniczką — to daje pewną precyzję. Studiami językowymi zajęłam się dopiero w czasie okupacji. Sądzę, że jeśli się dobrze wie, co się chce powiedzieć — to jasnej myśli odpowiada jasność formy.

— Który ze swoich utworów najwięcej pani lubi? — zadaję niedyskretne pytanie.

Pani Dąbrowska odpowiada po chwili namysłu.

— Nie jestem tego pewna. Mogę tylko powiedzieć, że wszystkie moje utwory są dziećmi miłości. Nie chcę przez to twierdzić, że zgodnie ze znanym przysłowiem wszystkie są udałe. Jakiś szczególny sentyment mam dla książki „Znaki życia", może dlatego że uważam ją za najmniej docenioną. Są w niej opowiadania, które zdają mi się dosyć nowym podejściem do zagadnienia prozy artystycznej, jak „Panna Winczewska" lub „Oktawia". Przyjemnie mi jest, że nowe powojenne wydanie tej książki ukazało się we Wrocławiu.

— Czy w pani poglądach na literaturę istnieje pojęcie literatur specjalnych, chłopskich, robotniczych?

— Nie — przerywa pani Maria. — Ale to nie są sprawy istotne. Jeśli komuś to potrzebne do szczęścia, może nazwać dany utwór „chłopskim", „robotniczym", mieszczańskim", i tak dalej, a dalej. To nie doda wartości rzeczy złej, ani zaszkodzi rzeczy naprawdę wartościowej.

— W obecnej chwili jesteśmy świadkami pewnej ofensywy kulturalnej. Wydawnictwa pragną zdobyć najszersze masy czytelników. Słyszy się o Klubach książek, o tanich bibliotekach, „Omnibusach". Rozwija się akcję odczytową, w której i pani też brała udział. Co pani o tym wszystkim sądzi?

— Są to próby — zdaje się — dość szczęśliwe. Są to rzeczy potrzebne. Jednak tak wielkie rozszerzenie się czytelnictwa, jakie obecnie obserwujemy dzięki wspomnianym przez pana zabiegom, pociągnie za sobą na razie z konieczności obniżenie poziomu książek, obniżenie smaku artystycznego. Musimy się pokusić o tę największą i najtrudniejszą ambicję, żeby nasza kultura duchowa miała taką głębię — jak i zasięg. Dzisiejszy czytelnik żąda i szuka dobrej lektury. Jest świetnym materiałem na jej miłośnika.

Trzeba tego czytelnika uczynić dobrym i czułym odbiorcą sztuki i literatury. Podstawowym środkiem tworzenia się w narodzie smaku artystycznego jest znajomość sztuki i literatury czasów minionych i mijających, znajomość tradycji artystycznej i literackiej. Nasze masy ludowe muszą sobie przyswoić tradycję kulturalna w takim przynajmniej stopniu, w jakim dotychczas warstwy oświecone przyswajały sobie sztukę i kulturę ludową, której wkład w każdą sztukę i literaturę, a zwłaszcza polską — jest tak olbrzymi.

Pani Maria jest widocznie zmęczona. Pijemy herbatę, oddychamy swobodniej. Schowałem mój notatnik, co zostało powitane przez rozmówczynię miłym westchnieniem ulgi. Jakże przyjemnie jest rozmawiać, skoro się ma przeświadczenie, że nic nie trzeba notować. Mam chętkę pytać jeszcze o bieżące prace, których pono jest wiele, ale czuję, że byłby to temat do drugiej pełnej rozmowy, o którą już w tej chwili nie mam odwagi prosić.

Józef Słotwiński

STANISŁAW JERZY LEC

PETYCJA

Rzekłem już raz:
Wierzę jeszcze w bogów greckich i rzymskich,
czczę bóstwa Egiptu,
złożyłbym dziś ofiary z moich najbliższych znajomych
krwawym bogom Azteków.
Żywy jest dla mnie Perun i czterolicy Światowid.
Las dla mnie pełen jest Elfów,
woda rusałek i nimf.
Każde drzewo ma głos,
źdźbło trawy imię.
Wierzę, że mój znajomy Kalikst (nazwisko muszę zataić)
jest nawiedzany co dzień przez Ducha Glupoty.
Wierzę w gusła i czary,
w poezji nieziemską siłę,
wierzę w to, że żona poety X.
jest w samej istocie Muzą.
Ale nie wierzę, nie wierzę, nie wierzę
w żaden systemat religii,
co ma współcześnie ziemską hierarchię,
w której centrali i prowincjonalnych filiach
urzędują od ósmej do pierwszej i od trzeciej do szóstej,
względnie w godzinach zmienionych
wedle miejscowych zwyczajów.
W imię zdrowego rozsądku
i mistyki przyrody
żądam prawa dla tej niewiary.

MOSTY

A mnie synowi miasta, co nad żadną rzeką,
łuki mostów już zawsze łuk brwi podnosiły
i obraz długo we śnie szumiał pod powieką
i bił w omszałe przęsła fali kożuch siwy.

W nadwodnych miastach stoję nad zimną poręczą
rzeki różną zielenią po mych oczach płyną.
I trzody fal się cisną pod kamienną tęczą
i widnokrąg wieczorem pije rzeki wino.

Czas był podminowany, nieprzyjazny mostom
sam po pas stałem w błocie, podpalałem lonty.
Wtedy gwiazdy spadały w krew moczarów prosto
i trawą spopielałą porastały fronty.

Niejeden wybuch niebo w moich oczach zbełtał
spod nóg mych wyrwał ziemię, na którą wróciłem.
Patrzę — nad wodą Wiseł, Dunajów i Wełtaw
znów ludzie niosą śruby i stalowe piły.

Chcę patrzeć jak znów mosty skaczą z brzegu na brzeg
choć nie wierzę, że tęcze są mostami Boga.
Nie chcę się mego mostu nad rzeką krwi zaprzeć
lecz syna uczę chodzić po mostach Van Gogha.

Ż

Krótka jest droga od początku do końca.
Ledwie ciałem wyczujesz kąt równowagi,
słowa oddzielisz od oddechu,
otworzysz oczy
a czas już dojrzał
jak żółta gruszka,
której soczysty obraz
chłodzi nam cień naszych ust.

Pora już krzyknąć w pośpiechu
kilka obrazów otuchy,
przechodniom spotkanym na drodze,
co wiedzie
od pępowiny
do Nieba (ręka wskazuje — pod nią kilometraż)
do Piekła (ręka wskazuje — pod nią kilometraż)
Czasem trawka wyrasta u stóp tych napisów.

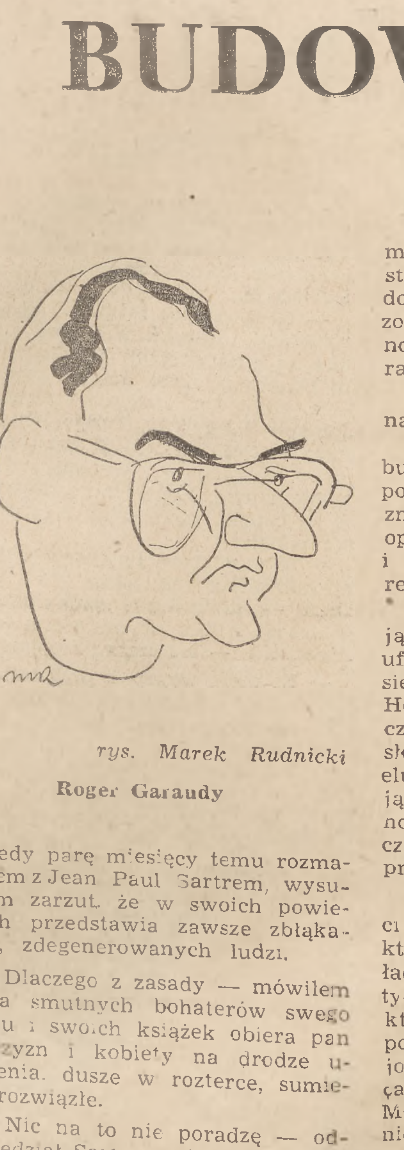
Szybko spojrzyj w notesik,
czyś nie przegapił czego.
Kartkuj, kartkuj,
o tutaj, pod Ż.
Czy było tam zapisane:
Ż y ć ?

ROGER GARAUDY

przełożyła MARIA STULGIŃSKA

BUDOWNICZOWIE I FAŁSZYWI PROROCY

(Specjalnie dla „Odrodzenia")



rys. Marek Rudnicki

Roger Garaudy

Kiedy parę miesięcy temu rozmawiałem z Jean Paul Sartrem, wysunąłem zarzut, że w swoich powieściach przedstawia zawsze zbłąkanych, zdegenerowanych ludzi.

— Dlaczego z zasady — mówiłem — za smutnych bohaterów swego teatru i swoich książek obiera pan mężczyzn i kobiety na drodze upodlenia, dusze w rozterce, sumienia rozwiązłe.

— Nic na to nie poradzę — odpowiedział Sartre — świat jest właśnie *taki*.

— Być może — ciągnąłem dalej — że tacy ludzie są, ma ich pan możność zaobserwować i chętnie w ich towarzystwie pan przebywa w Café de Flore czy w nocnych lokalach Montparnasse'u i Montmartre'u. Tam się aż roi od tych martwych dusz, od żyć bez celu, od zatrutych ludzi, których stać jedynie na przeżuwanie własnej bezsilności i rozczarowań — słowem uprzywilejowanych wzorów pańskiej literatury grabarzy. Ale jest przecież jeszcze inna Francja — ta, która w latach partyzantki, a potem na barykadach przywróconych wolności miast dowiodła, że chce zwyciężać i żyć — ta, która od chwili swego wyzwolenia podjęła walkę na nowym froncie odbudowy i odrodzenia kraju na froncie kopalń, chat, laboratoriów.

Ta Francja przez całe miesiące walczyła z niewiarą i oczernianiem. I [illegible] nadal [illegible] samą odwagą, z tym samym radosnym przekonaniem.

Dodajmy teraz, że ta Francja — Francja ludu, Francja ruchu oporu, Francja odbudowy — krocząca dziś zwarcie za swoją robotniczą awangardą, wydaje nową walkę — walkę o swoją narodową niepodległość, walkę o swój przemysł i swoje rolnictwo, zagrożone przez amerykański imperializm, walkę o demokratyczne swobody, zagrożone przez wykonawców obcych interesów, którzy nawiązują do monachijskiej i vichyjskiej polityki grabarzy Francji — walkę o własną duszę w imię umiłowania rozumu, postępu i radości, najlepszej tradycji umysłu francuskiego. I dlatego przeciw tym siłom, niosącym rozkład i zagładę naszej kulturze, przeciw fałszywym prorokom sceptycyzmu, niepokoju i rozpaczy walczy i podnosi się moralnie Francja budowniczych.

Nie ulega wątliwości, że ta zaleta, ten styl życia ludzi, którzy miłują przyszłość, może artyście czy pisarzowi przynieść nie mniej porywających wątków i dramatycznych tematów niż samotnicy grabarze, drżący z obawy przed ludem i przyszłością.

Wybór artysty ma w istocie znaczenie klasowe — nie określają go względy literackie czy techniczne. Pisarz solidaryzujący się z tym czy innym aspektem rzeczywistości, którą wyraża, może opowiedzieć się za tym, co jest w rozkładzie i zamiera, jak i za tym, co się rodzi, rozwija i rośnie. Może stanąć po stronie grabarzy lub budowniczych, sam się stając grabarzem czy budowniczym.

Zalew zgnilizny w sztuce ma znaczenie bardzo wyraźne: klasa, która uważała kulturę za pewnego rodzaju szlachetny przywilej, weszła w stan nieuniknionego upadku. Artysta, który zdecydował się zostać błaznem klasy upadłej, gdy się do niej zwraca, może mówić tylko o niej, i nie zdoła nic więcej odtworzyć niż mniej lub bardziej sofistyczny obraz tego upadku. Mistrzowstwo techniki nie zmieni istoty rzeczy: jak zakłamanemu światu przedstawić, nie wywołując w nim nienawiści i strachu, obraz człowieka, który nadszedł, radosnej zwycięskiej klasy, która zmiótłszy ze swej drogi potęgi przeszłości, zdąża na podbój przyszłości.

Wiele przykładów z naszej literatury francuskiej mogłoby zobrazować to prawo historii: rozkładający się w XVIII wieku ustrój feudalny jak rak rozgałęził się w literaturze, wydając obfitą pornografię i najbardziej zboczone formy „wykwintności" literackiej, wyrażającej się w poszukiwaniu wyrafinowanej techniki, pozbawionej istotnej treści i myśli ludzkiej.

Przeciw temu powstaje wraz z młodym, budzącym się mieszczaństwem hymn Condorceta i Diderota do postępu, rozumu i radości, „filozofia oświecenia", pokładająca ufność w człowieku i przyszłości, która się przed nim otwiera.

Każda klasa ma taką literaturę, na jaką zasługuje.

Wielka, chyląca się ku upadkowi burżuazja francuska, podobnie jak podupadła w XVIII w. szlachta, znajduje upodobanie w erotycznym opętaniu literatury amerykańskiej i intelektualnej rozwiązłości Sartre'a.

Ta podupadła burżuazja, pokładająca w okresie swej wielkości ufność w rozumie, dziś odżegnuje się od racjonalizmu Descartesa i Hegla, którzy kołysali jej młodzieńcze sny o potędze, i jako ostatnie słowo filozofii przyjmuje chętnie elukubracje Camusa, który poucza ją, że „rzeczywistość" to niedorzeczność i tylko niedorzeczność jest rzeczywistością"; kapitalizm, który przynosi sztuce zgniliznę.

Przybiera on najrozmaitsze postaci. W świecie pełnym chaosu, w którym niezdolna jest zaprowadzić ład, upadająca klasa zaleca sceptycyzm — najpewniejszy środek, który może utrzymać nadal ten nieporządek, sprzyjający jej przywilejom. Filozof „Nouvelle Revue Française", Abim, który przyklasnął Monachium, pouczał nas, aby w „nic nie wierzyć" i „kształtować swój sąd przez rozgromienie myśli". André Gide głosił „bezinteresowny czyn", „nieodpowiedzialność jednostki, która nie przynależy do niczego i nigdzie się nie angażuje". Czyn jest wrogiem tych pedagogów niewolnictwa. André Gide tak pisze: „Obawiam się wszelkich ustępstw, aby to, co robię, nie ograniczało tego, co mógłbym zrobić". W okresie między dwiema wojnami był to najdoskonalszy poeta psychicznego rozkładu człowieka.

Sceptycyzm, to tylko odwrotna strona rozpaczy. A literatura rozpaczy i niepokoju, jak mówią nasi „wybitni", jest także jedną z recept naszych dekadentów.

Gdy teatr „Atelier" wystawił „Antygonę" Jean Anouilha, a „Vieux Colombier" „Drzwi zamknięte" Sartre'a, zrozpaczona rzekoma arystokracja Paryża wydała tam sobie spotkanie, a prasa reakcyjna nie szczędziła pochwał. Po wyjściu z teatru nasuwał się człowiekowi jeden tylko logiczny wniosek: Jeżeli świat jest rzeczywiście *taki* i jeżeli autorzy starają się nam wmówić, że nie da się już nic zrobić, ażeby go zmienić, cóż nam pozostaje innego niż popełnić w Sekwanie zbiorowe samobójstwo? Ale ta klasa nie ma odwagi hara-kiri. Szuka ucieczki. Chętnie słucha tego, co ją odrywa od ponurego impasu, w jakim się znalazła ona i świat, i chętnie słucha tych, którzy mówią jej, że jest jeszcze coś innego, jeśli nie na ziemi, którą doprowadziła do chaosu, to przynajmniej w niebie.

W tym się kryje tajemnica powodzenia François Mauriaca, który w swoich powieściach z godnym podziwu talentem obserwacji i unaoczniania odtwarza nędzne oblicze jednej kasty: wielkich kupców winem i smolarzy z Landes; zna do głębi to środowisko, które jest jego własnym środowiskiem i nieomylną ręką modeluje w błocie ich wizerunek. Żeby znaleźć pociechę wobec tego znikczemnienia ludzkości, zapewnia nas nieustannie, że obok „grzechu" istnieje „łaska", wprawdzie nie tu lecz w niebie, nie u ludzi, ale u Boga. I to ma być pociecha wobec ogromu brzydoty.

Obok ucieczki mistycznej jest jeszcze ucieczka awanturnicza. Zręczność grabarzy usiłuje dla młodzieży szukającej własnej drogi znaleźć takie rozwiązanie, które nie byłoby rewolucją. To sztuka Sartre'a i Malraux.

Wypadek Malraux jest pod tym względem szczególnie znamienny: rewolucja to rozwiązanie konfliktu klas. Malraux, jak uczony alchemik, umiał przetransponować rewolucję na metafizykę. W jego dziele stają naprzeciw siebie już nie siły społeczne ale metafizyczne istoty. „Świat takiego dzieła jak to — mówi w swojej przedmowie do „Czasów pogardy" — świat tragedii, to świat starożytny: człowiek, tłum, żywioły, kobieta, przeznaczenie. Świat ten sprowadza się do dwu czynników — do bohatera i jego zmysłu życia".



Honoré Daumier

W klubie kobiet

— Obywatelki!... Rozpowszechnia się pogłoski, jakoby miano nam odmówić prawa rozwodu. Stwórzmy trwały związek i uderzmy na alarm! Ojczyzna w niebezpieczeństwie!

Rewolucja staje się przenośnią, „walką z aniołem", jak mówi tytuł jego ostatniej książki.

Jest to rewolucja „duchowa", oderwana od rzeczywistej walki. Sześć miesięcy temu Malraux przemawiał do studentów na Sorbonie: „Jest z gruntu obojętne, kto z was będzie komunistą, przeciwnikiem komunizmu czy liberałem — jedyne istotne zagadnienie, to zdać sobie sprawę, niezależnie od tej czy innej orientacji politycznej, jak odrodzić człowieka".

Ale kto zrobi wtedy tę „duchową" rewolucję? Mała elita „humanistów", intelektualistów, opracuje styl dla „wielkich jednostek", którym, jak mówił Blanqui — „motłoch służy za podnóżek". Oto istotny sens tego ataku na materializm. Idzie o to, by dać nam przejrzane i poprawione wydanie „światłego despotyzmu", ściślej „neomaurrasyzmu". Trzeba to powiedzieć zupełnie jasno — zbyt bowiem dobrze zdajemy sobie sprawę, dokąd nas ta rzekoma rewolucja „duchowa" prowadzi. Prawdziwej rewolucji, po prostu rewolucji — nie zrobią ani intelektualiści p. Malraux, ani dziennik „Combat". Rewolucja „duchowa" jest tylko alibi, potrzebnym do uchylenia się od prawdziwej rewolucji. Któż to jest bohater Malraux? — To jeden z desperatów powieści Sartre'a, szukający przygód i silnych wstrząsów, aby uciec od rzeczywistości, to człowiek, który narkotyzuje się morfiną, opium i seksualną perwersją, aby zapomnieć o bezładzie świata. Jeśli pociągają go rewolucje, nie znaczy to, że w nie wierzy — nie odczuwa nienawiści do istniejącego porządku rzeczy, solidarności klasowej czy zrozumienia biegu historii — widok bólu i upojenia walką pozwala mu się objawić samemu sobie.

Od Szanghaju do Madrytu, od walk nad rzeką Lot do walk nad Renem Malraux szuka tylko siebie. Szaleństwo walki, jego zdaniem beznadziejnej i bezcelowej wprowadza tego samotnika w trans i daje sadystyczne zadowolenie z samego siebie.

Bohaterstwo jest u niego formą ucieczki.

✣

Myśl materialistyczna, to jedyna konstruktywna myśl rewolucyjna, myśl budowniczych. Myśl, dla której świadomość z jej dramatem jest jedynie świadomością rzeczywistości, która nie mieści się we mnie. Świat nie jest we mnie, to ja jestem w świecie. To pierwsze ogniwo wielkiego łańcucha: jeśli odpowiedź na mój niepokój żąda przemiany świata, przemiana ta domaga się udziału mas. Jedynie prawdziwa rewolucja może położyć kres nieszczęściu świadomości, dając obiektywne rozwiązanie sprzeczności, które świadomość odzwierciedla i transponuje. Tu znajdujemy się w środku dzisiejszego zagadnienia: upadająca klasa, kurczowo trzymająca się swoich przywilejów, obawia się ludu. W tej obawie przed ludem często traci rozsądek: aby obronić przeciw niemu swoje przywileje, burżuazja francuska szukała opieki Hitlera, a dziś szuka jej u najbardziej reakcyjnego imperializmu amerykańskich miliarderów, którzy ujarzmiwszy lud amerykański usiłują zrobić z Europy swoją kolonię.

Jeśli idzie o kulturę, francuska burżuazja, chcąc rozbroić naród, nie waha się go demoralizować.

Aby znieczulić umysł francuski szuka się narkotyków w Ameryce. Układ Blum—Byrnes wydał kina francuskie na łup ogłupiających filmów Hollywoodu: bezmyślny erotyzm płaskich „pin up girls" czy pochwała gangstera miały być wzorem dla młodzieży francuskiej. Setki ilustrowanych przeglądów, sprowadzanych również z Ameryki, pomnażają te same niezdrowe tematy.

Imperializm to wiek rozkładającego się kapitalizmu. To on do kulturalnego, ekonomicznego i politycznego życia przynosi wszystkie fermenty zgnilizny. Grabarze każdego narodu starają się odwrócić oczy własnego ludu i skierować jego spojrzenie i żebrzące ręce do panów amerykańskiego imperializmu. Portret Rity Hayworth, namalowany na bombie atomowej, to obraz ich wszystkich nadziei, to cały horyzont ich kultury i cywilizacji.

✣

W obliczu świata, który zamiera, widoczne są już pewne ludowe pierwiastki odrodzenia i ich duchowy wyraz. Nowy człowiek rodzi się w walkach. Mierny to artysta, który nie dostrzega pierwszych zarysów jego twarzy.

Nasi najwięksi poeci już w czasie walk podziemia temu nowemu człowiekowi oddali cześć. To zasługa Aragona, że w pięknym zbiorze poematów „La Diane Française" sławił to pierwsze przebudzenie. Paul Eluard podjął walkę u jego boku.

Nasi filozofowie, pisarze i krytycy literaccy postępowej „Europe" „La Pensée", „Les Lettres Françaises", „Action" naszkicowali już pierwsze zarysy oblicza nowego człowieka.

Tego człowieka, rodzącego się w walkach naszych robotników, chłopów i intelektualistów, charakteryzuje przede wszystkim jasność i rozum. Przeciw irracjonalnej mistyce, którą wczoraj starał się nam narzucić imperializm niemiecki a dziś imperializm amerykański, powstaje prawdziwie francuska tradycja — racjonalistyczna jasność.

Drugi charakterystyczny rys — to skłonność i zmysł skutecznego czynu. Fałszywi prorocy rozpaczy, odsuwania się i bezsilności na próżno usiłują nas zamknąć w dylemacie bez wyjścia. Naród francuski temu nie wierzy. Choćby wszyscy Sartre'owie i metafizycy imperializmu amerykańskiego gardłowali, aby dowieść filozofii dylematu, wielki głos Paula Langevin przypomina nam, że myśl która się odrywa od rzeczywistości, jest chora — a nasza myśl jest zdrowa.

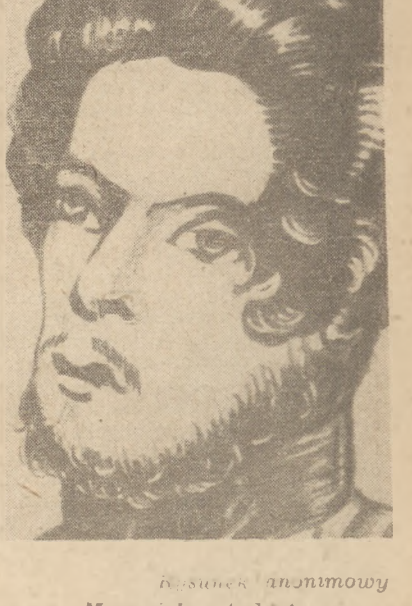
Langevin nauczył nas prawa intelektualnego zdrowia: „Myśl rodzi się z czynu i u człowieka zdrowego do czynu powraca".

Trzeci rys tego nowego człowieka, to wiara w lud. Fałszywa elita zdradziła nas w 1939 r. — duszą walki wyzwoleńczej była klasa robotnicza. Fałszywi bohaterowie „ludzie opatrznościowi", uczniowie Maurrasa, a dziś Malraux zbyt wiele złego uczynili krajowi, aby gaullistowscy awanturnicy, de Gaulle i jego trubadur Malraux mogli raz jeszcze oszukać naród francuski.

Klasa robotnicza opierała się wszystkim atakom. To ona w walce z hitleryzmem złożyła najcięższą daninę bohaterstwa i poświęcenia. To jej bezustanne strajki zadały cios planom skolonizowania Europy. Postępowi intelektualiści francuscy związali z nią swoje najśmielsze nadzieje wolności, chłopi francuscy od trzech miesięcy grupują się dokoła niej. To lud, w którym stopiły się w jedno wszystkie siły pracy i umysłu, zadecyduje wbrew fałszywej elicie o przeznaczeniu wolności i wielkości naszego narodu.

Czwarty rys tego nowego człowieka, to przekonanie, że jutro stanie się twórcą, że to, czego już dokonał, jest niczym w porównaniu z tym, co pozostało mu do zrobienia. Ta nowa forma ufności w nieograniczone możliwości przeznaczeń ludzkich — to źródło radości, radości budowniczych i zdobywców.

Muszę przyznać, że nigdzie nie odczułem tego z taką siłą, jak w Warszawie w obliczu ruin i waszej szlachetnej dumy budowniczych. Zeszłej soboty, kiedy przyglądałem się budowie waszego przyszłego



rysunek anonimowy

Marx jako student

ministerstwa przemysłu, młody inżynier Polak zaznajomił mnie z dwoma etapami robót: najpierw wykorzystano ruiny zdatne do użytku, potem zmiażdżono stare cegły.

Ta wytrwałość i ta pewność, która jutro stanie się twórczą, jest moim zdaniem duszą waszego wspaniałego odrodzenia. Naród, który ruiny wykorzystuje jako surowiec, który buduje środkami z przypadku i miażdży martwe kamienie, aby przywrócić im życie — co za niezwykły przykład budowniczych.

Chciwa polityka imperializmu pragnęła narzucić życiu Warszawy milczenie śmierci, ale naród chce inaczej, chce aby życie zmiażdżyło i pokonało śmierć. Widząc to zazdrościłem waszym intelektualistom, artystom i pisarzom, że mogą ich także porwać ten wspólny zapał twórczy. Czyż można dać ludowi bardziej chlubny obraz niż obraz tego ludu, który sam buduje własne życie?

Pomyślałem, że do intelektualistów polskich można by odnieść powiedzenie M. Gorkiego: „Szczęśliwi ci, którzy zrozumieli, że lud to niewyczerpane źródło energii, które zdolne jest zamienić możliwość w konieczność, czyn w rzeczywistość; oni odczuwają nieustanną łączność z ludem, który staje się dla nich źródłem życia i tworzenia. Uczucie to rośnie w nich i przepełnia serca bezmierną radością i potrzebą kształtowania nowych form kultury. Tysiące intelektualistów francuskich doznaje dziś tego podniecającego uczucia, biorąc udział u boku klasy robotniczej w walce o niepodległość i odbudowę Francji. Intelektualiści katoliccy zgrupowani wokół walczącego „Esprit", intelektualiści o tradycji racjonalistycznej — jak Julien Benda czy Vercors, zdają sobie dziś silniej niż kiedykolwiek sprawę, że nadeszła godzina wyboru między obcym imperializmem, poddaństwem i wolnością. A wybór ten zależy od innego wyboru: wyboru między potęgą pieniądza i ludu, między tyranią dyktatorskich terminatorów i wolnością, między grabarzami i budowniczymi.

Bądźcie spokojni — większość intelektualistów francuskich dokonała już wyboru. Jak wy wybrała wolność, i na wyborze całego naszego ludu oparła się nasza pewność odrodzenia. We Francji, podobnie jak u was w Polsce, odradzające się życie zmiażdży i pokona śmierć. Przyszłość należy do tych, którzy bronią życia.

Roger Garaudy

przełożyła **Maria Stulgińska**

NASZ KONKURS „MIASTECZKO POLSKIE ROKU 1947"

Dnia 1 stycznia 1948 r. upłynął termin nadsyłania prac na konkurs „Miasteczko polskie roku 1947", ogłoszony przez nasz tygodnik w nr. 18 (127) z dnia 4 maja ubiegłego roku. Konkurs ten ma na celu uplastycznienie roli miasteczka w całokształcie naszego życia zbiorowego ze szczególnym uwzględnieniem nowego miasteczka na Ziemiach Odzyskanych. W uzasadnieniu tego konkursu Aleksander Wat słusznie podniósł, że „na mapach naszej współczesnej literatury miasteczko stanowi białą plamę."

Konkurs postawił następujące warunki: Utwory nadesłane powinny być ujęte w formę powieści (fragment powieści), opowiadania, sztuki scenicznej (fragment), reportażu, essayu. Prace już opublikowane nie będą uwzględnione.

Nagrody: 1 nagroda — 60.000 zł.
3 drugie nagrody — po 30.000 zł.
5 trzecich nagród — po 10.000 zł.

Jury ma prawo łączyć nagrody lub zmieniać ich wysokość. Redakcja zastrzegła sobie prawo pierwodruku nadesłanych prac.

Spis nadesłanych utworów, skład jury, jak i termin rozwiązania konkursu zostaną podane niebawem.



Honoré Daumier

Ulica Transnonain w Paryżu. 15 kwietnia 1834

JERZY ZAWIEYSKI

Liryczna opowieść o Warszawie

Mam pisać o książce Kazimierza Brandysa pt. „Miasto niepokonane“, którą Warszawa nagrodziła przed kilkunastu dniami i od razu postanawiam sobie porzucić styl krytycznej oceny: rzeczowy i obiektywny. Pragnę pisać na gorąco, tak jak na gorąco była pisana ta książka. Będzie to zatem nie artykuł lecz apostrofa, lub list do Ciebie, „dostojny“ laureacie i do Ciebie, Czytelniku. Mam na myśli nie Spółdzielnię Wydawniczą, lecz Was, liczni, wielotysięczni czytelnicy, którzy od siebie już dawno przydzieliliście nagrodę Kazimierzowi Brandysowi w postaci własnych wzruszeń i prostych określeń, jakie nieraz słyszałem: — to piękna książka. Czytałem ją trzykrotnie, raz kawałkami, gdy pisał ją Brandys i przez poczucie wspólnego przymierza w miłości do Warszawy udzielał mi swych pisanych przeżyć, drugi raz, gdy książka wyszła drukiem i wreszcie teraz, po owej nagrodzie, gdy zapragnąłem napisać o „Mieście niepokonanym“.

Nagroda Warszawy za książkę o Warszawie wydaje się być faktem naturalnym. Ale tak nie jest. Bo miasto, które ją przyznało — to miasto jedyne na świecie. To przecież nie magistrat ani jury, choćby najczcigodniejsze. Warszawa — to skrót największej miłości, która ogarnia wszelkie imponderabilia, za które chętnie oddaje się życie. Ruiny i cmentarze, cały ten pejzaż księżycowy — to znaki największych cnót heroicznych, które tu walczyły z upostaciowaniem zła i zbrodni. Takie miasto dało nagrodę pisarzowi za książkę o sobie, za książkę, która jest prawdziwym hołdem. Nagroda państwowa, na przykład, ma charakter bardziej oficjalny, niejako akademicki, jest prawdziwie dostojna. Ta natomiast jest szczególnie droga, serdeczna, jedyna nagroda jedynego miasta. I z jej wręczeniem było też jakoś po warszawsku. Laureat niedbały o zapłatę za swą miłość, nie wyczekiwał w pobliżu, — nie było go tam, gdzie stale zamieszkuje. Zdawało się, że znikł. Radio wysyłało apel do miast i do swoich słuchaczy, aż wreszcie Kazimierz Brandys zjawił się u Prezydenta Miasta z żoną, z ową „Marianną“, którą znają czytelnicy z kart „Miasta niepokonanego“, — z tą samą, która pomogła ukraść papierośnicę volksdeutscha, z tą samą wierną pocieszycielką naszego bohatera. Zdumieliście się, że tak Brandys wygląda, jak pokazały zdjęcia? — Młody, ma niewiele po trzydziestce, szczupły, o delikatnych, subtelnych rysach twarzy. Wtedy gdy pisał swoją książkę — ...ale to osobny rozdzialik w naszych wyznaniach.

TROCHĘ HISTORII

Po powstaniu, Warszawa rozsypała się po całej Polsce. Wszędzie jej było pełno, na wsiach i w miastach. Warszawa — czyli jej mieszkańcy, bo nie mury jedynie są sercem nazwy naszej stolicy. Dzieje Warszawy popowstaniowej czekają na swojego epika, a także na swojego socjologa. Bo cóż to się działo z resztą Polski, gdy rozlała się fala bohaterskich powstańców Warszawy? Każda wieś czy osiedle, każde miasto stawało się od razu małą lub większą Warszawą. Dobrzy prowincjusze witali ze łzami nieszczęsnych przybyszów warszawskich, a ci odebrawszy wzruszenia i łzy od razu przenosili obyczaj warszawski gdzie się dało i jak się dało. Więc konspiracja, zamachy, drukarnie, a obok tego: handel, handel, handel. Nic nie pomogły perswazje, że Niemcy to jeszcze potęga, — naród warszawski robił swoje: kanty i bohaterstwo.

Najbardziej chyba w swoim obyczaju ucierpiał Kraków. Surowe milczenie Krakowa zadygotało od rejwachu byłych powstańców. Mówiło się o krakowskim powstaniu, którym pokierują niedobitki Warszawy. Zgroza padła na miasto. Tymczasem Rynek i plac Mariacki, cudownej piękności miejsca, zalały niewidziane tu nigdy postaci nędzarzy, którzy powtarzali zaklęte słowa: „kupuję, sprzedaję — złoto, brylanty, dolary“ — lub: „woda rozmowna“, „teściowa, teściowa“. Kosze z bułkami i kiełbasą, poustawiane byle gdzie i byle jak, szpeciły miasto. Największy strach padł na Niemców. Zaczęli zakładać miny i gromadzić dynamit. Nie zdążyli.

Później, po wejściu Armii Czerwonej, handel uliczny i szaber ogarnął już całe miasto. Odnawiało się życie polskie i znów kto mógł odpływał do Warszawy, mimo braku kolei. Odpływał dosłownie, po błocie i wodzie — byle prędko, byle w stronę Warszawy. Ale inaczej było z intelektualistami. Właśnie wtedy do Krakowa przyjechał z Marianną Kazimierz Brandys. Pisarze mieli tam dom przy ul. Krupniczej, zwany „domem wieszczów“. Dano nam ten dom, byśmy mogli pisać, ale nikt początkowo nie pisał. Chłonęliśmy nowe warunki życia i nową rzeczywistość.

Przyszła wiosna, pierwsza wolna wiosna po latach. Mieszkaliśmy w Krakowie, w mieście czarownym, w mieście wizji, które nasyła historia, osiadła tam w każdym nieomal kamieniu, w mieście wizji, które nasyła sztuka. Z jej natchnienia powstało to miasto piękności.

Wiosna tego roku była ciepła i wczesna. Chodziliśmy po plantach, patrzyliśmy na zdrowe i rosłe drzewa, ale myśleliśmy o poranionych, połamanych drzewach ulic warszawskich. „Czy pamiętasz platany w parku Ujazdowskim? — pytała Marianna. Czy pamiętasz te trzy lipy przed Belwederem? Czy pamiętasz, czy pamiętasz“ — to był jedyny rzewny motyw naszych spacerów po cudnym mieście Krakowie. Byliśmy zatruci Warszawą, chorzy na Warszawę, obłąkani Warszawą.

I właśnie wtedy, tylko jeden Brandys postanowił dać ulgę sercu, zdjąć z siebie obłęd, — siadł w swoim pokoiku na czwartym piętrze — i gdy my tylko tęskniliśmy, on, Brandys pisał. Nie wstydzę się przyznać, że oboje z Marianną płakaliśmy, gdy czytał nam niektóre zwłaszcza fragmenty. Pytał mnie — „czy to dobre“? Dobre jest wszystko, co potwierdza i podwyższa naszą miłość.

Zdaje się, że tę książkę skończył Brandys jesienią, wtedy, gdy na Plantach krakowskich i w parku Ujazdowskim, na Pradze i na Mokotowie, drzewa były bez liści, rankami srebrne od mrozu.

Powstawała tedy ta książka z najczystszego uczucia, ze wspomnień i tęsknoty, z elementów, które składają się zawsze na dzieło sztuki.

„MIASTO NIEPOKONANE“ DZIŚ

Przeczytałem teraz tę książkę w Warszawie, gdzie mieszkam już bez mała od dwu lat i gdzie po cichutku tęsknię za Krakowem. Bolą oczy od brzydoty miasta — przyznasz to czytelniku — nie do wytrzymania jest tłok w tramwajach, tłok wszędzie: i w kościele i w teatrze, w cukierni, a zwłaszcza na tych niewielu ulicach. Ale wiemy to dobrze równocześnie, że powietrze tego miasta jest jedyne, że tylko tu można mieć „wszystko i nic“, że tu jest przestronnie dla myśli, choć ciasno i wąsko dla ciała.

Dziś Warszawa już osiągnęła rekord w rozmachu, w oddechu i budownictwie, co prawda tylko w swojej głównej partii (partia od „część“), ale i to dużo. Od dziewczyny, która w zakończeniu książki Brandysa myje okna w ocalałym kawałku domu i wyraża tym, że Warszawa jest niepokonana w żywotności — od tego obrazu zaszliśmy dziś daleko. Wznoszą się już bloki i całe dzielnice, choć to dopiero trzy lata — i zapewne nikt już w Krakowie, czy poza Krakowem tak bardzo nie tęskni za Warszawą. Większość warszawskiego narodu buduje Ziemie Odzyskane i tam pisze dzieje swojej nowej, innej Warszawy. Jeśli tęsknią i jeszcze sobie popłaczą — to jednak inaczej niż niedawno. Nie ma na to czasu, robota czeka. I książka Brandysa dziś mówi inaczej do nas. Czy ta mowa jest lepsza, czy gorsza? Mniej doskonała? Nie. Ale możemy ją ocenić teraz w pełni, gdy już pierwsze wzruszenia mamy poza sobą. Nie oznacza to wcale, byśmy nie byli zdolni do tych wzruszeń, lecz są już one nie tak ostre. Zacznijmy więc od nich.

LIRYZM

Dostrzeżesz to łatwo czytelniku, jeśli teraz weźmiesz książkę Brandysa do ręki, że wszystkie jej warstwy są przepojone liryzmem. Liryzm, poetyckość, czy artystycznie wyrażona wzruszeniowość, to główna cecha poznawcza tej książki. Autor mówi wyraźnie, że wzrusza go wszystko, co jest „przyrodą“ Warszawy, choć nie jest to przyroda, która mogłaby zachwycić obcego. Klucz do niej ma tylko człowiek tutejszy.

Właściwie, tak na rozum, dużo jest brzydkiego w tym mieście, ale nie idzie nam o piękno obiektywne, o krajobraz Paryża, Rzymu, czy innych stolic. Brzydota Warszawy staje się piękna poprzez dodatkowe cechy: poprzez osobisty stosunek lub poprzez stosunek ludzi innych, lecz nade wszystko poprzez klimat miasta, który ludzi i rzeczy potrafi podwyższać i nasycać niespodzianką.

Raz po raz na kartach swojej książki wypowiada Brandys liryczne sformułowania o Warszawie i zawsze jest to sformułowanie, które za punkt wyjścia bierze coraz to inną cechę miasta.



Rysunek Juliusza Krajewskiego

Bohaterstwo? — O to najłatwiej, to samo nasuwa się pod rękę. Pospolitość? — Ależ tak. Lecz nie ono jest Warszawą. Dowcip? Humor? Żywotność? Tak, lecz również ofiarność, powaga, świętość. Dionizje i krucjaty, misteria i banał. Nigdzie sprzeczność nie występuje tak jaskrawo jak wówczas, gdy wespół z autorem pragniemy coś najtrafniejszego powiedzieć o Warszawie. Zwłaszcza o tej Warszawie, której dzieje opisuje Brandys — o Warszawie czasu okupacji.

W pewnym miejscu swej książki pisze tak: „Kto wie, czy kochamy swych bliskich za ich najlepsze cechy. Ilekroć rozważam swój stosunek do Warszawy, rodzi się we mnie podejrzenie, że przywiązywała mnie do niej jej czarująca niewiedza swych wad. Opłakiwałem krew i pożary, ściskałem pięści na wieść o krzywdach, ale czy najwięcej wzruszenia nie budziły we mnie te kłopotliwe momenty, gdy musiała chcąc nie chcąc szukać wyjścia z zaułków, w jakie wpędzały ją własne nawyki, przesądy i gusty? Potrafiła to czynić z jakimś strapionym wdziękiem i zdobywała się wówczas na wysiłek myśli, zazwyczaj jednak daremny, bo intelekt nie był najsilniejszą stroną tego miasta. W momentach zbyt trudnych wzdychała do Boga, albowiem modlitwa nie wymaga tyle logiki, ile chęci serca, którego jej nigdy nie brakło; i zawsze z najcięższych prób wychodziła pełna ufności w Boga, w świat i przyszłość, — i w siebie wreszcie, gdyż na chwilę nie utraciła wiary w swój przyjazny los. Dusza Warszawy była kobieca — bezbronna, czuła i lekka — i może dlatego tak mocno kochamy to miasto, że nie mogło się obronić ani wielkim rozumem, ani wielką siłą; niczym prócz woli istnienia, która u kobiet wydaje nam się tak wdzięczna i wzruszająca“ (str. 151—2).

Ale wróćmy do liryzmu tej książki. Dyktuje go tutaj serdeczny stosunek autora do „przyrody“ miasta. Gdyby autor nie pochwalał swoim sercem brzydoty Warszawy — nie mógłby takiej książki napisać. Nie powstałaby nigdy prawdziwa książka o Warszawie, gdyby nie było z góry danej zgody i wyrozumiałości na każdą cechę tego fenomenu, tworzącego jedno: miasto i ludzi. Czy to także nie paradoks? Ale inaczej tego miasta nie można pojąć — tylko poprzez serdeczne wzruszenie. Tak patrzy na to miasto Brandys i od pierwszych miłosnych słów autora czujemy, że powie nam prawdę, że w ten sposób mówiąc, odsłoni prawdziwą wielkość i prawdziwą małość miasta niepokonanego.

Liryzm zatem jest artystyczną motywacją tej książki. Autor go nie ukrywa i bardzo często zwraca się wprost do nas z wezwaniem, byśmy uczestniczyli w jego żalu czy w jego cierpieniu. Te apostrofy Brandysa należą do piękniejszych miejsc w jego książce. Przypomnę jedną: „Lecz jakaż pieśń, jaki psalm zdołałby w sobie zmieścić rozpacz warszawskiego ghetta? Dziś, gdy znamy w okrutnej pełni los zamkniętych tam ludzi, kiedy wiadoma stała się nam ich męka do ostatniego progu jaki kazano im przestąpić — niechże w piersiach wibruje ów krwawy wołacz, krzyk o pomstę, błaganie o rozum, który pomógłby nam wierzyć w potrzebę tej męki i śmierci“ (str. 179).

Ale nie tylko wtedy, gdy przygotowuje nas Brandys do opisu rzeczy tragicznych, zdobywa się na te akcenty lirycznego patosu. „Potrafi zmieścić wiele rozfalowanego powietrza w takim oto zwięzłym stwierdzeniu opisowym: „Toczyła się skoczna gra o śmierć i o życie, powietrzny pojedynek o dumę, zawrotne starcie o przeszłość i przyszłość. Na niebie zakwitają białe krzaki pocisków, strome światła śledzą pomruk motorów, czasem ukazując w swoich mackach jakąś samotną gwiazdę, błyszczącą jak łza. To była bitwa o przestrzeń powietrzną“ (str. 107).

Najpełniejszy wyraz liryczny odnajdujemy tam, gdzie Brandys wprost mówi o samym mieście, o jego swoistej przyrodzie. Mamy w sobie po odczytaniu książki wiele niezapomnianych krajobrazów, niby warszawskich i znanych, lecz świeżych i jakby nowych. Pamiętamy świty Powiśla, zmierzchy, noce i upalne dni, lub słotne czy mroźne. Wrażliwość na wygląd świata, który wsącza się pomiędzy sprawy i zdarzenia, to wielka zaleta prozy Brandysa. Kamienice, podwórka, mosty, bramy, ulice — wtapia Brandys w swój poetycki krajobraz, który podnosi urok opisywanej „martwej natury“. Jest w tym malarstwie poetyckim Brandysa dużo wynalazczości treściowej, dużo wynalazczości czysto formalnej.

Jednym z głównych elementów wzruszenia lirycznego Brandysa — jest ironia, która opłata zarówno ludzi, „martwą naturę“ jak i zdarzenia. Ironia ta jest dobrotliwa i serdeczna, nie kłuje i nie kąsa, jest czasami rodzajem bezradnego westchnienia nad niepoprawnością i lekkomyślnym gestem „niepokonanego miasta“.

Dotyczy to zwłaszcza ludzi. Jest ich spora, jak to się mówi: „galeria“. Pamiętamy dobrze dozorcę, owego Sulka roztropka, Pelca i Kapłana, lecz nadewszystko dom na Pogodnej z panią Balbiną Woyno na czele. Ich rysunek jest wyrazisty lecz delikatny i dyskretny, nie przybliżają się nam zanadto, w sam raz ile trzeba, byśmy ich polubili. Są także postaci traktowane bez ironii, bardziej serio, których los należy do tragedii miasta, jak np. los ojca. Raz tylko pozwolił Brandys odezwać się ojcu do nas i już go poznaliśmy, wzruszył nas od razu, on sam, czy mistrzostwo autora? — to tajemnica sztuki. Ten fragment rysunku postaci i postawy powinien być zapamiętany. Przytaczam tych kilka zdań: „— Moi drodzy — wstał wycierając binokle skrawkiem flaneli. — Jesteście duże dzieci. Sprawa jest prosta i oczywista. Ktoś o coś posądzony powołał się na mnie jako na człowieka, który mógłby wydać wiarogodną opinię o jego uczciwości. Wiecie przecież, ilu znam ludzi. Żałuję doprawdy, że nie zastali mnie w domu, złożyłbym bowiem zeznanie na miejscu. Będzie mnie to teraz kosztować fatygi i formalności, których nie lubię. Ale dość. Nie mówmy o tym i siadajmy wreszcie do stołu. Rozumiecie sami, spodziewam się, że na człowieka, którego chce się uwięzić, są inne sposoby niż karteczka z wezwaniem, świstek po prostu. Logika, logika, moi kochani! Podobno ten młody elegant — wskazał na mnie, mrużąc oko, — uzyskał stopień magistra praw? Gdzież prawniczy rozsądek? Sprawa jest oczywista, proszę o zupę. Martwi mnie pobudliwość waszych nerwów. Zasiadł przy stole i wyjął serwetkę z mosiężnego kółka, aby ją zatknąć za kołnierzyk“.

W tym fragmencie jest mowa o wezwaniu do gestapo, o niewinnej karcie, która stała się, jak to wiemy, wyrokiem śmierci.

Obok ludzi znanych nam z imienia i nazwiska występuje w „Mieście niepokonanym“ tłum uliczny, zawsze tu obecny, tłum — osoba, zachowujący się jednolicie „po warszawsku“, zdolny do patosu i do bohaterstwa, lecz najpełniej ujawniający się nam przez wdzięk swego humoru.

Ludzie w tej książce na równi z „przyrodą“ miasta otrzymali od swego twórcy najwięcej lirycznej aprobaty. Wydobył ich Brandys swoim uroczym słowem, które narówni staje się barwą, kreską, światłem, ruchem, jak i figurą retoryczną.

Ta powierzchnia słowa niesie nas wartko, tak równo i bezpiecznie, że powiedzmy szczerze, trochę aż niepokoi. Skromna uwaga o niepokoju płynnego słowa Brandysa obudziła we mnie jakiś głos sceptyczny i krytycznie nadąsany. Ten krytyk kazał mi przerwać ciąg zachwytów i tak oto prawi: — Jest, mój drogi, niebezpieczeństwo wartkości słowa. Naturalnie, u Brandysa płyną one swobodnie, raz szybciej raz wolniej, ale zawsze te słowa pokazują powierzchnię rzeczy.

— I nie docierają do głębi? — pytam w rzetelnej trosce.

— Docierają niejako mimo woli, przez zestawienie sytuacji, która jest dziełem życia nie wynalazkiem artysty. — Słowa Brandysa są zbyt ładne, zbyt gładkie — i powiem eleganckie. Czy nie jest ich za wiele? Czy nie przytłacza cię nadmierna nieraz retoryka? Retoryka natrętna i męcząca?

— Być może — odpowiada mój anioł, który jest bliski płaczu, — być może, ale są miejsca oszczędne i zwięzłe. Są sformułowania proste i głębokie.

— Giną one w tej wielkiej rzece rozlewnej retoryki. Gubią się — i nie one są prawdziwym wyrazem stylu Brandysa. Zważ dobrze, jest różnica pomiędzy tym, co nazywamy: „piękno łatwe“ i „piękno trudne“. Piękno słowa Brandysa jest właśnie łatwe, eleganckie i dlatego jest powierzchowne. Zbyteczne i drażniące są te ciągłe metafory, nie zawsze szczęśliwe.

— A pamiętasz świetne obserwacje, złożone z kilku słów, lub z kilku zdań — przeważnie nachylone ku grotesce? I tam jest metafora, wręcz znakomita — wołam z przejęciem.

— To małe wysepki, przyznaję że ważne, ale przytłacza je nadmiar i barok, pycha zręczności, orgia gadulstwa.

— To nic. Ale zważ, że tu się łączą dwie sprawy w jedno: miasto samo w sobie i historia. Czyli liryzm i obiektywizacja, — poezja i publicystyka. To jest nowe. Z tego zespolenia sprzecznych powiązań wyszedł Brandys zwycięsko.

— Historia? historia? — ryknął krytyk. Dobrze, pomówmy o historii.

INNA HISTORIA

— Mówmy tylko spokojnie, — proszę surowego krytyka, który gdzieś obok, jak szatan mąci mi rozkosz składania hołdu laureatowi.

— Więc dobrze — syczy ten nieprzejednany jakby nowy Wyka, — mówmy spokojnie, tym gorzej dla laureata. — Książka opisuje dzieje Warszawy za okupacji, dzieje jedyne w takim rozmiarze. Każdy wie, że miasto tych czasów oznaczało walkę i to wieloraką od „małego sabotażu“ poprzez „wielki sabotaż“ do zorganizowanej akcji wojskowej. Pomijam już choćby fakty cywilnej konspiracji oświatowo - kulturalno-społecznej, które także stanowią część tamtej orężnej historii. Cóż z tego prawdziwego historycznego nurtu znajdujemy w „mieście niepokonanym“?

Właściwie nic.

— A ludzie z ulicy Pogodnej? — A Powiśle w czasie powstania?

— Są tylko obrazki widziane z daleka, niejako z ukrycia. Prawdę o historii miasta mógłby napisać ten, kto sam był w środku działań konspiracyjnych, w samym sercu tej historii.

— Czy mamy za to winić Brandysa jako pisarza?

— Jako pisarz mógł posłużyć się materiałami, mógł się dowiedzieć jak było, aby dać wyraz prawdzie.

Mieliśmy dokument, realny obraz życia i historii. Obyłoby się bez westchnień, bez lirycznej rozlewności. Cóż tu jest z prawdziwego nurtu historii? Reprodukcje wtórne. Rzeczy słyszane i opowiedziane, lecz nie unaocznione.

— Zadanie tej książki jest skromniejsze niż to, jakiegobyś pragnął — jest to przeżycie cywila outsidera, — jest to relacja niejako abohaterska o bohaterstwie. To także jest ciekawe i nawet ważne.

— Ale to nie jest prawda o Warszawie! — i dlatego protestuję! oburzył się krytyk. — Cóż takiego robi bohater tej książki? Cóż robi obok swego wyrafinowanego myślenia? — stylizuje literacko komunikaty! — też mi działanie! — Jedyny czyn to ukradzenie papierośnicy! To jedno, na co się zdobył ten moralista, ten poetyzujący filozof! Pytam się czy z tą papierośnicą — to ładnie? W porządku? Mógłby to zrobić każdy, ale nie ten, kto na szczudłach patosu feruje wyroki etyczno-mistyczno-socjalne! — Poza tym jednym „czynem“ bohater analizuje i myśli, myśli...

— Dość tego! Nie pomniejszaj myślenia! Protestuję! Jesteś antyhumanistą, ty prakseologu!

— Jestem tylko szczery. A jeśli idzie o prawdę historii i o prawdę Warszawy...

Tu krytyk zamilkł, położył palec na ustach i odsłonił mi w pamięci pewien dzień listopadowy, gdy o zmierzchu w ciemnym mieście paliły się lampki na trotuarach, oświetlając miejsca ulicznych egzekucji...

„NIEPOKONANE“

My wiemy, czytelniku, że całej prawdy o dziejach Warszawy nie podobna wyrazić. Bo jeśli będzie walka orężna i krwawe widmo historii ożyje, to zginie ten wtórny element dziejów, jakim była atmosfera naszego miasta. Brandys tę atmosferę wchłonął i potrafił ją przekazać w całym jej bogactwie.

Miasto nasze w książce Brandysa prawdziwie żyje, jest nieskłamane, śmieszne, urocze, bohaterskie, wspaniałomyślne i szalone.

Warszawę trzeba, tak jak Brandys i jak my wszyscy, kochać, żeby ją choć w części rozumieć. Przyznajmy, czytelnicy, że miłość do naszego miasta w książce Brandysa jest duża, bardzo duża, ale nie jest jej za wiele, jak o tym zdaje się mówić niegodziwy krytyk. Darujmy mu tę ślepotę i nieczułość. I dajmy od siebie, — niezależnie od Magistratu, — dajmy Kazimierzowi Brandysowi laur najszczerszy, nasz podziw dla niego i nasze wzruszenie.

Przyjmij laureacie tę nagrodę spirytualną. Ty i Marianna.

Jerzy Zawieyski

Premiery warszawskie

KOŃ ZACZĄŁ

Teatr Nowy. — „Słomkowy kapelusz“. — Arcykomedia ze śpiewami i tańcami z operetek J. Offenbacha. Według sztuki *E. Labiche'a* opracował *J. Tuwim*. Reżyseria *S. Perzanowskiej*. Dekoracje i kostiumy: *T. Bronowski*. Tańce układu *L. Wójcikowskiego*.

Pewnego dnia Jean Cocteau wychodząc z premiery własnej sztuki usłyszał, jak jeden widz zwierzał się drugiemu: — „Żebym był wiedział, że to będzie takie głupie, to byłbym przyprowadził dzieci!“ — Na wczorajszej premierze usłyszałem w antrakcie mniej więcej to samo. Dwie młodziutkie panienki mówiły do siebie: — „Ten „Słomkowy kapelusz“ jest taki głupi, że trzeba koniecznie namówić na niego rodziców“. — Mają rację! Fantastyczna farsa Labiche'a, oparta na absurdalnym pomyśle, wyzyskanym po mistrzowsku, nadaje się zwłaszcza dla wszystkich starszych, skłopotanych państwa, którzy się już niczego mądrego nie spodziewają po tym świecie, i w teatrze szukają odpoczynku w atmosferze, która by ich śmieszyła automatycznie.

Labiche to rodzaj francuskiego Bałuckiego, tylko bardziej bujnego, bardziej szalonego. To autor całej setki wodewilów, komedii i fars, najczęściej pisanych przy cudzej pomocy. Historia literatury wylicza z dziesiątek jego literackich współpracowników, którzy bez Labiche'a niewiele co potrafili. Labiche wyszukiwał ich sobie, ściśle mówiąc, nie po to, żeby mu pomagali, lecz po to, by mu przeszkadzali. By go trochę przytrzymywali za poły i z lekka torpedowali jego pomysły. Naładowane przesadną ekscentrycznością, pełne bufonady, lataniny i wyskoków. Czasami w pierwszej wersji niemożliwe do zrealizowania i karkołomnie nieprawdopodobne.

Słynny „Słomkowy kapelusz“ powstał w r. 1851. Fabuła tej farsy jest tak żenująco niemądra, że aż wstyd ją streszczać! Oto rozpoczyna całą historię koń młodego człowieka, śpieszącego na swoje wesele. Ten koń zjada mimochodem kapelusz pewnej damy, która zdjęła go i powiesiła na drzewku, a sama poszła w las z kochankiem. Strata jest wielka, identyczny kapelusz musi się znaleźć w przeciwnym razie zadrosny mąż pani zacznie ją podejrzewać, wpadnie w szał i ją zabije. Dama wraz z kochankiem blokuje mieszkanie młodego człowieka, do czasu aż się znajdzie taki sam kapelusz. Przez całą resztę sztuki młody człowiek goni jego marę, zaś trop w trop pędzi za nim cały orszak ślubny, któremu młody człowiek nie chce się przyznać czego szuka.

Dziś gra się Labiche'a w „Comédie Française“. Gra się nawet ten „Słomkowy kapelusz“, który zresztą do repertuaru komedii wszedł stosunkowo późno: w roku 1938, w reżyserii Gastona Baty i dekoracjach Touchagesa. Przed rokiem w tejże Komedii oglądałem równie słynną „Podróż pana Perrichona“. Wystawioną z wielkim pietyzmem, z dbałością o ścisłość historyczną kostiumów i innych rekwizytów dekoracyjnych. Nawet przy takim ujęciu Labiche — którego typ teatru wywodzi się przecież zasadniczo z przedmolierowskiej farsy — zdumiewa jednym: ultranowoczesnością. Jego fantazja ma w sobie coś wręcz surrealistycznego. Gdyby ożył i znalazł się pomiędzy nami z pewnością rzuciłby się przede wszystkim na „Ferdydurkę“ i potraktowawszy ją jako bratni sobie utwór, może by ją nawet przerobił na wodewil. Sam pomysł Gombrowicza pomyłki na skutek której ktoś, kto ma trzydzieści lat, jest wzięty za uczniaka, jest zupełnie jak z Labiche'a. I jak u Labiche'a są z żelazną logiką wysnuwane konsekwencje tej pomyłki. I te na końcu każdej z trzech części jego powieści — o mało nie powiedziałem trzech aktów — na wielką skalę farsowe kotłowania.

Przedstawienie w „Teatrze Nowym“, który prowadzi J. Tuwim, wypadło świetnie. Sam tekst francuski został spolszczony i zrymowany przez Tuwima, opatrzony piosenkami i upstrzony dowcipami lżejszego zaciągu. (— „Gdzie jest pan mer? Gdzie jest pan mer? — Może poszedł do dwóch zer!“ — „Ważne dla was, nowożeńcy, są cztery litery: m. i. r. t Mirt!“ —). Toteż widowisko zaleca się nie tyle samym tekstem co wyborną reżyserią, świetnym tempem, ślicznymi dekoracjami i kostiumami, a przede wszystkim mnóstwem wybornych figur, stworzonych przez *Boguckiego*, *Mularczyka*, *Fijewskiego*, *Skulskiego*, *Mrozińskiego*, *E. Fertnera*, *Friedmanna*, *Cyglera*. W roli świeżutko poślubionej, której śpieszno do czekającej ją pierwszej nocki, wystąpiła *Krystyna Szenerówna*, śpiewała prześlicznie, grała przezabawnie. W pozostałych rolach kobiecych niezawodna jak zawsze. *Janina Godlewska* i *Lucyna Mesal* oraz aż trzy Heleny: *Bortnowska*, *Janowska* i *Makowska*.

T. Breza

KSAWERY PRUSZYŃSKI

ZNACZKOWNICY

Niestrudzone Ministerstwo Poczt i Telegrafów wydało przed paroma miesiącami kilka pocztowych znaczków, na ogół dosyć udałych, dosyć udałych zwłaszcza na nasze, wciąż dość prymitywne warunki techniczne, nie dość jednak, jeśli zważymy, że posiadamy doskonałych grafików, i że pod tym względem moglibyśmy wzbogacić filatelistykę o naprawdę piękne znaczki. Wśród tych znaczków znajduje się jeden, którego używam obecnie stale do gry towarzyskiej, albo, jak kto woli, jako testu inteligencji czy jeszcze sprawdzianu, o ile Ministerstwo Poczt trafia w poglądy powszechne. Test wygląda mniej więcej tak:

P y t a n i e p i e r w s z e: „Czy widzieliście państwo nowy znaczek pocztowy z podobiznami trzech wielkich prozaików polskich?"

Odpowiedź pierwsza: brzmi mętnie. (Aach, rzeczywiście, tak, tak, coś sobie przypominam, owszem).

P y t a n i e d r u g i e: „Na znaczku tym są, oczywiście, Bolesław Prus i Stefan Żeromski, ale jest także ktoś trzeci, a raczej, w ustawieniu, pierwszy. Któż to jest ten pierwszy czy też trzeci, obok tamtych dwu"?

Niestety, nie zbierałem p e ł n e j statystyki, ale odpowiedź na to drugie pytanie wypada w jakichś dziewięćdziesięciu pięciu procentach najspokojniej i najnaturalniej:

— Sienkiewicz.

W pozostałych zaś procentach dlatego tylko nie wypada „Sienkiewicz", że rozmówcy, jak w zbyt łatwej krzyżówce czy zagadce, spodziewają się i n n e j odpowiedzi, i tej innej odpowiedzi szukają. Wtedy (wśród tych mizernych pięciu procent) zaczynają padać odpowiedzi, które, jako człowiek pedantyczny, klasyfikuję dokładnie.

O d p o w i e d ź n o r m a l n a, n a j c z ę s t s z a i d o ś ć u z a s a d n i o n a: „Jeżeli nie Sienkiewicz, no to chyba Kraszewski. Albo Reymont".

Istotnie, Kraszewski jest ojcem naszej powieści historycznej i to ojcem o króliczej, dobraczyńskiej płodności, jego powieści przedrukowane i dzisiaj, niemal po latach stu, mają odbiorców i powodzenie, zdaniem wielu księgarzy nawet większe niż w okresie Dwudziestolecia. Reymont pozostanie autorem czytanych zawsze przez inteligencję „Chłopów" i czytanej, także i przez chłopów, trylogii rozbiorowej. Jest wreszcie jedynym — obok i po Sienkiewiczu — polskim laureatem Nobla. Obie odpowiedzi są dosyć trafne, to znaczy dosyć prawdopodobne.

Potem przychodzą odpowiedzi z gatunku „bardzo ciekawych". Podające nazwisko tego trzeciego, towarzysza Prusa i Żeromskiego: Wanda Wasilewska (2 razy), Boy-Żeleński (2 razy), Kott, Żółkiewski (Stefan), ks. Ściegienny, Balzak, min. Kruczkowski. Nie znaczyło to oczywiście, by w opinii przypadkowych rozmówców którekolwiek z wymienionych nazwisk winno było zająć miejsce Sienkiewicza. Oznaczało po prostu tyle: skoro nie dali już Sienkiewicza, kogoż u licha mogli dać do zaprzęgu z Prusem i Żeromskim?" (Przy okazji — ale to już poboczna uwaga — przekonałem się też, jak mało ludzie interesują się zawartością pocztowego znaczka).

W zakończeniu wywiadu szło wreszcie pytanie:

„A kto zdaniem pana (lub pani), winien figurować na znaczku wydanym ku uczczeniu trzech wielkich prozaików polskich?"

Odpowiedź brzmiała z a w s z e:

— Sienkiewicz. —

Po czym, czasem, szło ich pytanie:

„A któż to wreszcie jest na tym znaczku?"

Otóż na znaczku trzech wielkich prozaików polskich jest... Aleksander Świętochowski.

Jak widzimy, po erze bohaterskich brązowników, którzy starali się odczłowieczyć i uspiżowić żywoty naszych wielkich, przyszła kolej na znaczkowników i nasi niezmordowani pocztowcy zabrali się do własnej znaczkowej klasyfikacji w literaturze polskiej. Muszę powiedzieć, że należę raczej do wielbicieli Aleksandra Świętochowskiego, przynajmniej jego młodzieńczych, dojrzałych a wreszcie i starczych poglądów, aczkolwiek okres 1901 — 1927 raczej mi mniej imponuje. Świętochowski był wielkim mistrzem p o z y t y w i z m u — znowóż epoki płodnej, konstruktywnej, odkłamanej, w niejednym podobnej tym latom od 1772 do 1789, kiedy, pomiędzy klęską pierwszego rozbioru Polski a błędami Sejmu Czteroletniego, Naruszewicz, Krasicki, Komisja Edukacyjna, podskarbi Tyzenhaus (prekursor uprzemysłowienia), Chreptowicz, Andrzej Zamoyski, pijarzy no i mimo wszystko sam Stanisław August, przygotowali moralny długi i opłacalny... innym (tj. następnemu już pokoleniu) proces odrodzenia. Świętochowski był prorokiem i „rządcą dusz" owej drugiej epoki, rozłożonej pomiędzy klęskę powstania styczniowego a poważne podmuchy rewolucyjne lat 1901—1903, no i wreszcie wielkiego roku 1905. Był to wielki przekłuwacz mitów, frazesów i chimer, tak u nas zawsze ulubionych i tak dla nas zawsze niebezpiecznych. Odwracał od nich umysły młodego pokolenia ku odbudowie Polski, ku jej unowocześnieniu, ku podniesieniu dochodu społecznego, uprzemysłowieniu. Ideałom walki przeciwstawiał ideały pracy, mętnym nadziejom — rachuby ścisłe, otwierał szeroko wrota ówczesnym prądom światowym, tępił zajadle polski partykularz. Nie był to oczywiście jakiś samodzielny odkrywca, jak i nie był, wbrew mniemaniu P.T. Ministerstwa Poczt (i Telegrafów), „wielki prozaik", był to natomiast popularyzator wysokiej miary. Przynosił ospałej, zabiedzonej i żałobnej Polsce osiągnięcia myśli europejskiej, stojące wówczas wysoko, a dla najszerszego ich rozpowszechnienia posługiwał się artykułem, krytyką, powieścią, dramatem, analogiami historycznymi, powieścią historyczną. Gdyby dożył naszych czasów, sięgnąłby zapewne do filmu, a wszystko, aby do tego narodu, który dotąd do czytania się nadmiernie nie pali, dotrzeć poprzez korę mózgową. Pewno film Świętochowskiego posiadałby mniej humorystycznych wartości niż „Jasne łany", ale niemniej klasyfikowanie go z tej racji w rzędzie Pudowkinów i De Millów byłoby pewnego rodzaju ....przesadą*)

Oczywiście, w tym skromnym pojęciu uczczenie zasług ojca pozytywizmu polskiego byłoby najbardziej wskazane. Nieźle by zrobił nawet osobny, samoistny znaczek; lepiej jeszcze wydanie jego pism, choćby poszczególnych, zapewne niejedna powieść nawet doczekałaby się czytelników. Pisana u schyłku życia „Genealogia polskiej teraźniejszości" też prosiłaby się o przedruk, i takie formy uczczenia Aleksandra Świętochowskiego byłyby zapewne najszczęśliwsze. Wynagrodziłyby mu i pewną krzywdę, niewielką zresztą, tę mianowicie, że przed wojną nie wszedł do świeżo wówczas utworzonej Akademii Literatury Polskiej, skąd jego narzucającą się wprost kandydaturę wykopsano pod pretekstem, jakoby był ongiś, przed 1914, przeciwnikiem niepodległości polskiej. Tyle w tym prawdy co w innych podobnych zarzutach. Rzecz w tym, że przenikliwy umysł Świętochowskiego nie dawał się oślepić nawet słońcem wolności, że przewidywał — jakże słusznie! — iż nawet uzyskanie formalnej, państwowej niepodległości nie jest ani końcem trosk i zaczątkiem złotej ery, ani pełnym wyzwoleniem narodu. Pozostaną jeszcze rozliczne węzły, ekonomiczne przede wszystkim, dalej geograficzne, geopolityczne, polityki międzynarodowej, które będą innymi drogami krępować życie narodu. Obecnie wiemy, jak wiele miał racji — ale wtedy nie wszedł do Akademii. Dziś, na odwyrtkę, nie wydaje się jego puścizny, ale za to sadza się go na znaczkach..... nie na jego miejscu.

Korzystamy z miłej sposobności, aby jeszcze raz przypomnieć, że łamy „Odrodzenia" są otwarte dla wypowiedzi różnych stanowisk

Historia ze znaczkiem jest, oczywiście, symboliczna, jest typowa, jest obyczajowa i znamienna. Przejdzie ona kiedyś jako maluchny fragmencik, okruch małości do bojów toczonych w różnych czasach, zawsze z jednakim brakiem skutków, z pisarstwem Sienkiewicza. Boje tego typu nie zwracały się tylko przeciwko niemu. Pamiętamy, że przecie i „Pan Tadeusz" w pierwszych latach niepodległości nie uchronił się od podobnych form uznania. I jemu zarzucano, że nie jest gloryfikacją pracy. Jest już rzeczą znamienną, że im bardziej jakiś pisarz czy jakaś epoka pisarska jest w porównaniu z poprzednią karla i pigmejską, tym silniej stara się zrzucić z pomników to, co ją poprzedzało, co było większe od niej, co zasłania ją swym cieniem. Jednym się dziś nie podoba Prus, inni wykryli skazy w Wyspiańskim, trzeciemu i Żeromski w gardle stoi; jakżeby więc być mogło, żeby Sienkiewicz zbierał same laury?

A jednak pojęcia czytelników, tych tak dziś szczęśliwie poszerzonych mas czytelniczych mówią co innego. Niezależnie od polityki znaczkowej i ingerencji Ministerstwa Poczt w dziedzinie ocen literackich, Sienkiewicz jest nadal naszym najpopularniejszym pisarzem. Ponoć zachwiał się nieco (przejściowe to zjawisko) Żeromski: ponoć wzrosła po wojnie (arcy, arcy, słusznie) poczytność Bolesława Prusa. Sienkiewicz jest murowany. Przychodzą nowe warstwy, rosną nowe pokolenia i tak jak Sienkiewicz pozostał w dzisiejszej Rosji najpopularniejszym pisarzem polskim, tak samo jest nim jeśli nie w Ministerstwie Poczt, lub w tym czy innym pisemku, to w najszerszych masach czytelniczych. Zastanawiałem się dlaczego. Oczywiście dlatego, że „Krzyżacy" są dzisiaj, jak były prawie pół wieku temu, najwspanialszą książką antyniemiecką i że literatura polska nie ma i dziś dzieła tak zwróconego obliczem ku Ziemiom Odzyskanym jak ta właśnie. Oczywiście dlatego, że taki Bartek Zwycięzca bijący się za nieswoje sprawy na rzecz Niemiec nie jest niestety tak wygasłym gatunkiem Polaka. Oczywiście dlatego, że tęsknota za daleką ojczyzną, której pomnikiem jest „Latarnik" i ów stary Putrament mówiący w lasach Maripozy językiem księdza Wujka, odnowiła się i w naszych czasach. Oczywiście dlatego, że Sienkiewicz piętnuje w „Potopie" samowolę możnych, podnosi patriotyzm maluczkich, że w „Wołodyjowskim" schyla się nad żołnierzem. Oczywiście dlatego, że on, który każde swe zdanie piłował i wykuwał żmudnie, ma najpiękniejszy, najbardziej jasny i czysty język polski.

Ale jeszcze i dlaczego innego.

Oto Sienkiewicz jest pisarzem polskiego optymizmu.

Niemal zawsze, utwór po utworze, horyzont Rzplitej, jaki nam przedstawia Sienkiewicz, jest zachmurzony do beznadziejności. Kiedy obaj panowie z Bogdańca jadą drogą od Tyńca do Krakowa, zastępuje ją im Krzyżak. Krzyżacy porywają na Mazowszu matkę, potem córkę Juranda. Krzyżacy Juranda oślepiają. Wokół uciekającej Heleny Kurcewicz rozciąga się morze wojny domowej, bierwiona walą się na głowy polskie, kiedy Opalińscy, Radziwiłłowie i Radziejowscy poddają się zaborcy szwedzkiemu. Płonie w tych opowieściach Warszawa, pada Kraków i Bar, i Kamieniec, wygnany Jan Kazimierz krzyżem leży w kościołach śląskich, a przecież wreszcie w tym obrazie, gdzie ginie wszelka nadzieja l u d z k a, pojawia się jakaś Częstochowa, o którą rozbije się nawała zdobywająca twierdzę, jest jakiś wąwóz chechołowski, gdzie opuszczonego od magnatów króla obronią ciupagi góralskie, i nawet nad katafalkiem pana Wołodyjowskiego w oddanej Turkom twierdzy, zajaśnieje z wejściem Jana Sobieskiego proroctwo wiktorii wiedeńskiej. W każdej, właśnie w każdej swej książce potrafi wielki pisarz ugiąć polskie głowy t a k nisko, jak tylekroć uginała je niedola, nieszczęście, klęska, historia polska, aby potem niespodziewanie podnieść serca tak wysoko, jak je Polakom podnosiła nadzieja. Mówi się czasem nie myśląc o tym, że Sienkiewicz „zrósł się z losami Polski"; zrósł się z nimi tak, jak z Anglią zrósł się Conrad — pisarz morza, jak zrósł się z Ukrainą Szewczenko — pisarz gleby i pańszczyzny. Rozpacz i nadzieja, to kolejne motywy i Polski i Sienkiewicza. I dlatego Sienkiewicz jest nie tylko pisarzem, którego można było czytać w epoce Bismarcka i Hurki, nie tylko w epoce pierwszej wojny światowej. I nie wtedy nasze pokolenia zrosły się z Sienkiewiczem. Zrosły się one wtedy, gdy we wrześniu 1939 r. powtórzyły się Żółte Wody i Korsuń i srom piławieckiej ucieczki. Wtedy, kiedy nie widziało się ratunku, i wtedy, kiedy w Warszawie nie pozostał nikt, gdy powróciliśmy do gruzów, ruin i mogił. W tych książkach pisanych „ku pokrzepieniu serc" jest jedno wspaniałe, dobrze wszystkim pamiętne zdanie: „Nie masz takowych terminów, z których by się Rzplita salwować nie potrafiła". Włożono je w usta szlacheckiego pijaka, wygłoszono je na wojskowej popijawie a przecież nie odjęło to mu niczego.

Wtedy dopiero Sienkiewicz zblakłby na jakiegoś Walter Scotta. Nim to nastąpi, żadne znaczki nie pomogą.

Ksawery Pruszyński

*) Lubujemy się zresztą w takich. Na dwa lata przed wojną, pamiętam, Liga Morska i Kolonialna czy inna nie mniej niezbędna instytucja urządziła jakąś dętą wystawę, motywującą nasze prawa do Madagaskaru, Kamerunu, Nebraski i Indyj. Z wykresów wynikało niezbicie, że posiadaliśmy flotę wojenną na parę stuleci przed Anglią, że dokonaliśmy odkrycia Ameryki na parę wieków przed Kolumbem, a Hiszpania względnie Portugalia, biorąc się za kudły na morzu wzywały na pomoc.... polskich admirałów. Najciekawsza była jednak lista „wielkich podróżników polskich", obejmująca coś 315 nazwisk. Zdumiony tą mnogością krajowych Vasco da Gamów przyjrzałem się bliżej: cóż się okazało? Wśród „wielkich podróżników", jakich niedoceniona Polska dała tak hojnie światu figurował Władysław Raczkiewicz (Brazylia), generał Wieniawa-Długoszewski (Stany Zjednoczone), Józef Piłsudski (z tryumfalnym wykazem: Japonia — Syberia — Madera). Znalazłem i moje nazwisko z adnotacją Palestyna: czyjeś inne z adnotacją: Węgry. W Warszawie nie brakło nigdy ludzi z dowcipem toteż ktoś do swej listy dopisał jeszcze jedno nazwisko: Ignacy Ejerwajs — Słotwina Brzesko. Oto jak naraz pasowano zwykłych sobie turystów na jakichś Kolumbów, Beniowskich czy Janów z Kolna, wyobrażając sobie sprytniutko, że to...... „chyci".

Na rogatkach kultury

DUBELTOWE DUSZE?

„Najzupełniej nieuzasadniony i fałszywy jest przesąd, że ludzie pracy, że ich zainteresowania wymagają obniżenia poziomu twórczości kulturalnej i artystycznej, dostosowania jej do specyficznego jakoby prostackiego gustu i upodobań mniej lub więcej ordynarnych lub sprośnych. Wprost przeciwnie. Przeżyciom ludzi prostych, ludzi ciężkiej mozolnej pracy, obca jest nieokiełznana zmysłowość, wyrafinowany erotyzm różnych pasożytów-spekulantów i ludzi bez jutra, ludzi dnia wczorajszego. Tęsknoty duchowe, przeżycia wzruszeniowe ludzi pracy szukają z reguły ujścia w głęboko etycznych, społeczno-wyzwoleńczych ideach i obrazach.

Sztuczna, wulgarna „kultura ludowa", sztuka dla maluczkich — oto wynalazek jaśniepańskiego dworu, a nie rzeczywista potrzeba chłopa czy robotnika".

Prezydent Bolesław Bierut. — Przemówienie wrocławskie z dnia 17 listopada 1947 r.

Szkoda czasu i atramentu na dysputę z kociokwikiem co prawda już nielicznych w piśmiennictwie „poziomistów", którzy starają się przypisać upowszechnianiu kultury chęć obniżenia jej poziomu, ba! nawet wyrzeczenie się pracy badawczej i naukowej. Listopadowa mowa wrocławska Prezydenta jasno i dobitnie dała odprawę podobnym poglądom i miejsce i rolę nauki w nowej Polsce określił Prezydent w swojej mowie w czerwcu ubiegłego roku w Polskiej Akademii Umiejętności. Wydaje się, że w ciągu trzech przeszło lat budowniczowie Nowej Polski zdołali nas przyzwyczaić, że ich słowa nie są pustym dźwiękiem, że przemówienia oznaczają początek urzeczywistniania programu.

Natomiast należy zwrócić uwagę, jeśli wolno tak powiedzieć, na teorię „dubeltowych dusz", która pokutuje w pewnych kołach. Twierdzą niektórzy, że upowszechnianie kultury spowoduje tworzenie podwójnej literatury pięknej: pisarz będzie tworzył sobie a muzom utwory o wielkiej wartości estetycznej, natomiast ochłapy ze stołu swojej wielkiej twórczości poświęci biednemu ludowi, stworzy sztukę dla maluczkich. To poklepywanie po ramieniu ludu, ta jaśniepańska wspaniałomyślność jest co najmniej śmieszna. Piszę te słowa w chwili, gdy robotnicy Czechosłowacji mocno klapnęli po ramieniu swoich jaśniepanów i w czasach gdy ci, którzy stanowią lud, maluczko maluczko a będą gospodarzami całego świata. Trzeba stanąć na wysokich szczudłach, aby tego wielkoluda poklepać po ramieniu.

Dziewięćdziesiąt lat temu „Dziennik Literacki" (r. 1857, nr. 34) doniósł o następującej rozmowie:

„A jak tam u was ze szkółkami wiejskimi?" To było jedno z głównych pytań Adama Mickiewicza, którymi zwykł był witać każdego świeżo przybyłego z kraju. Zapytany podobnież (było to na kilka dni przed jego (Mickiewicza) wyjazdem do Turcji) opisałem mu stan tych zakładów i wyznałem otwarcie, że w wielkiej części wina zaniedbania tychże ciąży na nas samych, a może na całej klasie oświeconej, a stosunki naszą w tej mierze odrętwiałość mu tłumaczą". A pisze tam kto dla ludu? zapytał. — Nie pisze nikt prawie, a zresztą na cóż by się to przydało, gdy lud czytać nie umie. — „Czytałby, odparł, czytałby, gdyby umiano pisać dla niego. Uczyłby się czytać, gdyby miał co czytać. Ale cóż! Kiedy piszą dla ludu takim językiem i formą, których on nie rozumie, tonem, który do niego nic przemawia..."

„Zrobiłem uwagę, że nie tylko dla ludu stosownego nie ma piśmiennictwa, ale i dla klasy średniej, której u nas nie po miastach szukać wyłącznie, ale której znaczna część w bezpośrednich z ludem wiejskim stosunkach... Literaci nasi piszą prawie tylko dla literatów. Pisaniu dzieł dla ludu, rzeczy tak ważnej a trudnej, oddają się tylko pisarze podrzędnych zdolności".

Od czasu owej rozmowy, do chwili, gdy Prezydent powiada: **„Sztuczna, wulgarna „kultura ludowa", sztuka dla maluczkich — oto wynalazek jaśniepańskiego dworu, a nie rzeczywista potrzeba chłopa czy robotnika"** wiele się w Polsce zmieniło. Mickiewicz mówił w okresie, gdy kraj znajdował się pod okupacją carską, gdy istniała jeszcze pańszczyzna — Prezydent przemawiał, jako pierwszy obywatel państwa, które największe sumy łoży na oświatę powszechną, państwa, w którym rozbudowa komunikacji, kolei i szos, motoryzacja kraju, elektryfikacja i radiofonizacja z roku na rok usuwa rogatki między wsią i miastem. Rogatki te były sztucznie tworzone i obecnie próba ich utrzymania rodzi się stąd, że niektórzy pragną na tym monopolu maklerstwa w sprawach chłopskich wyadwokacić dla siebie stanowiska w życiu społecznym. Nie tylko robotnik, który wyrósł i stał się współgospodarzem kraju, — ale i wieś polska uległa w ciągu stulecia gruntownym przemianom.

Czytelnictwo na wsi — w świetle rzeczywistych faktów a nie fikcji i urojeń — jest uwarunkowane tym, że chłop polski w bezpośrednim kontakcie i wspólnocie z miastem, a nie w umacnianiu swojej kulturalnej odrębności widzi drogę swego awansu społecznego. Chłopomaństwo śmieszy go i irytuje, w utworach gwarowych widzi chęć przedrzeźniania go — podobnie jak dzieci śmieszy wygłupianie się starszych, gdy ci mówią ich językiem. Miasto w utworze literackim bardziej ciekawi chłopa niż wieś, zaś pseudo-chłopskie utwory mają wybitnie **miastomańskie** przeznaczenie. W takiej wsi Jodłowo, powiatu jasielskiego (woj. rzeszowskie) na wieczorze czytelnikowskim Jalu Kurka, na zebraniu dwustu chłopów toczyła się prawie dwugodzinna dyskusja, w której uczestnicy domagali się, aby dostarczać im książek pisanych polskim, literackim językiem.

W miarę uwspółcześniania ustroju polityczno - gospodarczego Polski, w miarę przełamywania historycznych opóźnień, następuje szybkie scalanie w jedno kultury narodowej. Wielka sztuka narodowa była zawsze sztuką ludową, zrozumiałą, jasną, przejrzystą, mimo że posiadała najtrwalsze wartości estetyczne. Niech „poziomiści" wskażą jedno dzieło literatury światowej o nieprzemijających wartościach estetycznych, które nie byłoby zarazem proste, zrozumiałe i odczute przez całe współczesne społeczeństwo? Nie sądzę, żeby „Pan Tadeusz", który jest wybitnie książką ludową, tym samym zatracił swą nieprzemijającą wartość estetyczną? Nie sądzę, żeby dzieła Moliera, Cervantesa, Dickensa, Lwa Tołstoja Maksima Gorkiego—straciły coś na swej wartości przez to, że były najbardziej ludowe.

Nie wolno zaprzeczać wartość sztuki doświadczalnej, „odkrywczej", pionierskiej, z tego tytułu nieraz elitarnej, owego piśmiennictwa „literatów dla literatów", niemniej przeto jedynie przez jedność z życiem emocjonalnym i językiem narodu dzieło sztuki zyskuje nieprzemijające wartości estetyczne. Utożsamiać obu zjawisk nie wolno tak samo jak nie można nawozu i gnoju, bez którego zasiew byłby bezskuteczny, utożsamiać ze złotym łanem zboża

Wielka literatura narodowa jest zatem literaturą ludową. Dubeltowe dusze są niepotrzebne, obniżanie poziomu jest szkodliwe, a poklepywanie po ramieniu owego ludu jest trochę spóźnione. Spóźnione o tę maleńką rewolucję, która zaszła na gruzach carskiej Rosji, i o te drobne przemiany, jakie zaszły w Europie środkowej, i o ten nieuchronnie zwycięski pochód dziesiątków i setek milionów do socjalizmu. Wobec bezsiły i niemocy kulturalnej ginącego świata.

✤

Niemniej przeto, w okresie narastania wielkiego masowego czytelnictwa, w okresie gdy stopień po stopniu niezliczone rzesze uczą się abecadła, sztuki i wartości estetycznych — dotąd dla nich niedostępnych — palącą sprawą jest szczeblowanie, schodkowanie literatury i kultury. Nie czytałaby wieś „Pana Tadeusza" i „Faraona" i „Syzyfowych prac", gdybyśmy nie mieli Kraszewskiego, Rodziewiczówny, Gruszeckiego i Daniłowskiego, Perzyńskiego i Gomulickiego, Korzeniowskiego, Bałuckiego i tylu, tylu innych.

Rola średniego pisarza i obrona jego dorobku nie warunkuje obniżenia poziomu sztuki jeno pozwala rozszerzyć zakres czytelnictwa i podwyższyć kulturę mas. Łączenie szczeblowania, schodkowania kryteriów estetycznych w okresie rewolucji kulturalnej ze sprawą obniżenia poziomu literatury jest świadomym czy nieświadomym fałszerstwem.

Okres międzywojenny opóźnił rozwój czytelnictwa w Polsce. Jeśli odrzucimy przyczyny społeczne i polityczne — niewątpliwie przyczyniła się do tego krytyka literacka okresu międzywojennego, która wychodząc z formalno-estetycznych założeń tępiła polskiego średniego pisarza. Przytłaczająca większość średnich pisarzy polskich należy do okresu sprzed 1919 roku, wykształciła ją, stworzyła dla niej klimat krytyka literacka pozytywizmu. „Młoda Polska" a później i „Wiadomości Literackie" lekceważyły, ignorowały a nieraz tępiły rodzimego średniego pisarza, stąd w okresie międzywojennym mieliśmy zalew rynku wydawniczego trzeciorzędną produkcją przekładową, której zerową wartość estetyczną pokrywał jedynie napis: przekład z angielskiego lub francuskiego.

Okres walki o upowszechnienie kultury będzie również nową erą odrodzenia polskiego średniego pisarza.

Tym samym zostanie przebity najszerszy gościniec dla nowej ery sztuki narodowej w Polsce.

✤

Przykro jest, że prowadzimy spory w czasopismach literackich o sprawy dawno gdzie indziej przebrzmiałe, dawno utarte przesądzone. Świadczy to jedynie o tym, że jesteśmy na tym odcinku spóźnieni. Może najbardziej odpowiedzialną, węzłową rolę odegra na zakręcie spraw kulturalnych krytyk literacki. Spóźniony poród nowej kultury musi być kleszczowym porodem. Decydować tu mogą nie ogólne, oderwane od konkretu wypowiedzi, ale raczej rozpatrywanie spraw na mniejszych odcinkach, aczkolwiek pisanie i rozstrząsanie wielkich zagadnień ideologicznych na odcinku literatury jest bardziej ponętne i mniej odpowiedzialne aniżeli codzienna mrówcza praca, która tę literaturę stworzy.

Jerzy Borejsza

BOGUSŁAW KUCZYŃSKI

„PIJĄC WINO Z RZYMIANAMI"



Włochy współczesne: Tak wygląda typowa włoska uliczka

Zaraz za kolumnami i murem Wolnego i Niezależnego Miasta Watykanu zaczyna się nieoczekiwanie najbardziej proletariacka dzielnica z tysiącem winiarni i tysiącem proletariackich dzieci na ulicy. Tu wino kosztuje grosze i sprzedaje się je w tych samych ciemnych bramach co węgiel, olej i jaja. Pije się tu tego wina dużo, lejąc je do środka jak wodę; białe lub czerwone, cierpkie i chłodne, toczy się je z beczek do butelek, w których jest podawane na stół, pije się z zielonych grubych szklanek, nalewając z czegoś, co zawsze się nazywało i będzie nazywać „fiasco": wielkie, brzuchate, ciepło-okrągłe, w słomianym gnieździe, potomek skórzanego worka, nie mniej starożytne niż starożytny Rzym.

Warsztaty rzemieślnicze wyszły tu z ciasnych i ciemnych mieszkań na ulicę. Na ulicę wynosi się także stoły i krzesła, na ulicy spędza się dzień; pracując na niej, jedząc, pijąc i prawie śpiąc. Na ulicę wyszły też tutejsze winiarnie. Ich stoły zatarasowały jezdnię. Ledwie się między nimi przeciska czarny i mały osioł, ciągnąc wózek z długimi bochenkami chleba i niosąc na grzbiecie dwie baryłki wina.

Ubogie są tutejsze knajpy-winiarnie. W pierwszej z brzegu usługuje właścicielka, która długo targuje się z wędrownym sprzedawcą prezydenckich portretów, by wreszcie kupić jeden najtańszy, i umieścić go nad ladą, tam, gdzie wisiała królewska rodzina. Tę przewiesza się w ciemniejszy i spokojniejszy kąt, by czekała czasów, w których z biegiem lat stanie się historycznym zabytkiem.

Ta detronizacja nie odbywa się ani na wesoło, ani na smutno. Ot, po prostu karczmarka wyjmuje eks-króla wraz z całą jego rodziną z ramki, idzie w kąt i przypina pluskiewką do muru. Fotografia wisi teraz spokojnie w kącie; on, jeszcze dosyć młody, zawsze jednak tak samo smutnawy i niepewny siebie, stoi za fotelem swej żony, rzeczywiście bardzo mały, tak mały, że jest równy ze swą siedzącą w fotelu większą, a nawet bardzo wielką „połowicą". Jeszcze nieposiwiałe wąsy zaczesał do góry, by się w ten sposób, biedaczyna, trochę podwyższyć. Trzyma się poręczy fotelu, jakby się już wtedy bał, że go zaraz zabiorą, wywiozą, może gdzieś zaszlachtują. Ona nie, wcale się nie boi. Wielka, mocna, z wysoką koroną na głowie, dziewczyna z gór, Słowianka, siedzi w Rzymie pewna siebie, wreszcie na rzymskim tronie, mimo że słowo Słowianin posłużyło w tym języku do utworzenia słowa niewolnik, a słowo Serb — sługa. Nie, nie była tu ani sługą, ani niewolnicą i to ona, gdy Mussolini przy obiedzie poprosił króla o chusteczkę do nosa, jak mówi anegdota ludowa, powiedziała ze złością do męża:

„Nie daj, bo to ostatnia rzecz, w którą w tym twoim królestwie wolno ci jeszcze wsadzić nos".

Poprawiła jego mocno podupadającą rasę: stoi przy nich wysoki i mocny chłopak Umberto, z wielôma gwiazdami na piersiach i szabelką u pasa, hełm z pióropuszem trzymając w ręce; stoją Jolanda, Mafalda i mała Giovanna, czyli po prostu Jasia, wszystkie trzy jednako zdrowe i ładne. Brak jeszcze nie urodzonej Marii, ale przyjrzawszy się widać, że królowa jest w ciąży, dobrze zaawansowanej: uczciwie odwala swoją robotę, nie tracąc czasu jak on, na zbieranie starych guziczków i pieniążków.

Dalej mur jest miejski, nie watykański. Są w nim tu i ówdzie bramy i gipsowe tanie figurki świętych w kapliczkach. Na murze niebieską farbą wymalowano wielki kwadrat, a na nim, pod baldachimem i za drucianą siatką, powieszono obraz z napisem:

„Niech żyje Maria, Gwiazda Morza".

Ale uboga jest ta Maria, mimo hucznego napisu, tak uboga, jak ubodzy są mieszkańcy tej okolicy i jak ubogie są tutejsze winiarnie. Toteż w ciągu dwustu lat tylko osiem posrebrzanych serc jej tu przyniesiono, ofiarowano najuboższe koraliki na szyję, nic nie kosztujące żółte kwiaty postawiono przy niej w nadbitym garnuszku, i tak przeznaczonym do wyrzucenia. Ten garnuszek przyniosła, jak się okazało, Karmela, stara rzymianka żebraczka. Pije teraz trochę wina w niedalekiej winiarni na dawnym Polu Marsowym, pije ze swoim mężem, który się nazywa Dominik Spirito. On ma siedemdziesiąt trzy lata, ona jest o dwa lata od niego młodsza, a pobrali się przed tygodniem, i jak zwykle nowożeńcy w Rzymie, w pierwszą środę po ślubie poszli odwiedzić papieża. Piją teraz wino i Dominik tak mówi do Karmeli:

— Nigdy cię już więcej nie będę bił, Karmelo.

A na to dobra, wyrozumiała i zakochana Karmela kładzie mu rękę na ramieniu i odpowiada:

— Kochasz mnie, a bijesz tylko wtedy Dominiku, gdy się upijesz. A więc pij, kochanie.

Nalewa szklankę i podnosi mu do ust, gdyż jego ręce drżą: wino by się rozlało. Jak ją tymi drżącymi rękami bije, nie wiem.

Ja także piję wino. Idę do winiarni i mówię:

„Proszę ćwierć litra wermutu".

Mówię te słowa powoli i uważnie, jak powoli i uważnie mówią zwykle lub chodzą ludzie, którzy już dużo wypili. Piję słodki wermut, potem idę do następnej winiarni i mówię: „Proszę ćwierć litra marsali".

Piję słodką marsalę, potem idę do następnej winiarni, a winiarni jest w Rzymie tysiące i tyleż gatunków wina. A kiedy się już całkiem upiję i więcej nie mogę, idę spać.

Rano wracam jednak na to samo miejsce, na dawne Pole Marsowe. Po jego ludnych i gęsto zabudowanych uliczkach krążą ludzie, którzy jak tysiąc i dwa tysiące lat temu od świtu prowadzą wszystkimi drogami do Rzymu osły i muły. Na ich grzbietach albo na dwukołowych tutejszych wózkach wiozą do Rzymu olej i wino i to, co się u nas „włoszczyzną" nazywa, gdyż z Włoch pochodzi i stąd do nas przywędrowało jak wino, które wraz z chrześcijańską wiarą stąd poszło na Północ, sączone przy ołtarzu jako „Krew Pańska" przy cichej muzyce organów.

„Chleb i wino" — tutaj dopiero rozumie człowiek znaczenie tych słów, tutaj, gdzie chleb i wino, to codzienna strawa biedaków.

Piję dziś wino z trzema rzymiankami w rzymskiej osterii, czyli winiarni. Pierwsza z nich, to wysoka i niegdyś bardzo piękna Giovanna, zawsze otoczona przez dwie lub trzy kobiety, Giovanna, która sama nie zaznawszy męskiej miłości, swoje dziwne życie poświęciła pomocy innym kobietom w dobijaniu do małżeńskiego i rodzinnego portu. Od rana spotyka najróżniejsze, młode i stare, brzydkie i ładne, starając się jednak zawsze, by były pracowite, uczciwe i mądre, a nie głupie jakieś szmatłaki. Prowadzi je z sobą, szepcze z nimi po bramach, tłumaczy im i przekłada, gdy robią obiekcje, słucha ich skarg, potem prowadzi przekonane, posłuszne, zrezygnowane i ufne, że może rzeczywiście ten samotny mężczyzna, gdzieś tam oczekujący kobiety, którą Giovanna obiecała mu przyprowadzić, okaże się dobry i ludzki, zaprowadzi do kościoła, by dać na zapowiedzi, weźmie ślub, będzie dobrym mężem i ojcem, dobrym opiekunem rodziny.

Giovannie można zaufać: zna wszystkich mężczyzn w Rzymie, tych, którym potrzebna jest kobieta, i wie, jaka kobieta jest potrzebna. Giovannie można zaufać, gdyż nie da kobiety zmarnować. Upomni się o jej krzywdę, ochroni ją, jej sprawę doprowadzi do szczęśliwego końca, to znaczy do ślubnego kobierca przed ołtarzem.

Pijąc ze mną pierwszą poranną szklaneczkę wina i częstując mnie orzeszkiem, którym się tu wino przegryza, pyta żartobliwie, czy przypadkiem ja też nie potrzebuję kobiety, towarzyszki życia. Pyta żartobliwie, gdyż w rzeczywistości interesują ją tylko poważni mężczyźni, o ustalonym zawodzie i ustalonym życiu: hycel na przykład, szewc albo zamiatacz ulic. Artysta interesuje ją wówczas, gdy gra na skrzypcach na ulicy albo w osterii, albo też gdy gra na jakiejś porządnej trąbie lub harmonii. Miałaby dla takiego żonę. Także dla malarza, ściennego oczywiście. Dla mnie nie.

Pije z nami swą pierwszą poranną szklankę wina także i inna kobieta, bardzo brzydka Maria Semprini, która słysząc słowa Giovanny uśmiecha się swym czarującym i niezapomnianym uśmiechem i mówi tak:

„A ja bym może miała jedną".

Odpowiadając na jej uśmiech swoim najlepszym uśmiechem i wiedząc, że ma na myśli swoją małą córeczkę, z którą się zaprzyjaźniłem chodząc po Rzymie, pół serio, tak jak i Maria, odpowiadam:

— Zaczekam na nią.

Ale to nie o mnie w tej chwili idzie, tylko właśnie o nią, o Marię, która się niepotrzebnie droży. Poznała mężczyznę pięknego, i jak mówi Giovanna, mężczyznę godnego zaufania, młynarza z zawodu, który ma poważne zamiary, nie tak jak inni, co to wykorzystają kobietę, przywiążą do siebie, potem zostawią w smutku, niepokoju i nieszczęściu.

„To wielka rzecz mieć własnego mężczyznę dla siebie" — mówi Giovanna, która mężczyznom zresztą mówi to samo, w odwrotnym porządku, że to rzecz wielka mieć dla siebie własną, dobrą, rozumną i wierną kobietę. „To wielka rzecz kochać go całego, takiego jaki jest, takiego jakiego dał nam los i nasz rozumny wybór".

Młoda dziewczyna, karczmarka tej „osterii", słucha słów Giovanny z nabożeństwem, z na pół rozchylonymi ustami. Z takim samym nabożeństwem słucha ich Maria Semprini i kilka kobiet, które jedząc przyniesiony ze sobą chleb i jajka gotowane na twardo piją tu wino.

„To wielka rzecz kochać go całego, własnego, swojego i czuć jego mocne ramię blisko przy sobie, ramię, które nie tylko w życiu obroni, ale które także nie boi się pracy i wysiłku, żeby dać byt rodzinie i dzieciom, chowanym na uczciwych ludzi".

Z pobliskiego kościoła dały się słyszeć dzwony. Giovanna, zwracając się tym razem bezpośrednio do Marii, mówiła dalej:

„Widzisz Mario, ja znam ciebie, rzymiankę tutejszą, od dawnych lat. Wiem, że całe życie pracowałaś ciężko, gdyż mąż twój odumarł cię w kwiecie waszej miłości, zostawiając cię z maleńkim dzieciątkiem. Żyłaś odtąd samotnie i nigdy nie przyszłaś do mnie, jak to robią inne kobiety, by prosić mnie o męża. Ale oto przyszedł do mnie wczorajszego wieczoru człowiek, niejaki Antonio Esposito, dał mi pieniądze na rękę i powiedział: „Daję ci pieniądze na rękę, żebyś poszła do takiej jednej znanej ci kobiety, która się nazywa Maria Semprini i żebyś jej powiedziała swoimi słowami, że jej dobrze życzę z całego mojego serca, czego sam nie potrafię jej dość dobrze powiedzieć".

Maria nic nie odpowiedziała. Ale się zarumieniła i widać było, że duma rozpiera jej piersi, gdyż Giovanna mówiła to przed innymi kobietami, słuchającymi uważnie, które nawet jajka tłukły po cichu, by nie przeszkadzać.

„Ja od siebie powiem, że nie należy oglądać się wstecz, za wspomnieniem, choćby było najpiękniejsze. Życie idzie naprzód i nie czeka. Ty, Mario, nie jesteś już pierwszej młodości i życia nie powinnaś tracić".

Powiedziawszy to zrobiła małą pauzę, jakby czekając odpowiedzi Marii, ale wcale tej odpowiedzi nie oczekiwała po takich słowach. Oczekiwała jej po następnych:

„Ten mężczyzna zmarnuje się samotnie. Ani nie dba o siebie, ani o swoje życie, ani o to, żeby założyć swój dom. Ale dla ciebie to zrobi. Chcesz mu w tym dopomóc, Mario?"

Wydawało się, że Maria czeka właśnie na takie słowa i Giovanna była dość mądra, żeby je powiedzieć.

„Tak" — odpowiedziała Maria.

„Mogę mu to powiedzieć?" — spytała Giovanna.

„Możesz" — odpowiedziała Maria.

Tak załatwiwszy sprawę z grubsza, poszły w kąt, by omówić szczegóły. Karczmarka przed każdą postawiła szklankę z winem. Kobiety mówiły przyciszonymi głosami. O cóż chodziło? O to, że marynarka na przykład, wiadomo jest, drze się trudniej niż spodnie. Ale spodnie drą się znacznie prędzej. Toteż Antonio może jeszcze dość długo ponosić swą marynarkę. Ale spodnie trzeba mu kupić, spodnie czarne, porządne, z grubego materiału, spodnie, które by mu wystarczyły na wiele lat i w których wyglądałby dostojnie, tak jak powinien. Nie chodziło zresztą tylko o same spodnie. Chodziło o porządne buty, żeby mieć w czym po tym ślubnym kobiercu iść, chodziło o inne rzeczy, które trzeba było ustalić, by nic już później nie mąciło obopólnego szczęścia.

Kobiety poszły, zostawiając mnie samego, poszły zobaczyć któregoś z mężczyzn Giovanny, tych mężczyzn, co to potrzebują kobiety. Wypiłem jeszcze kwaterkę wina i poszedłem także i ja zobaczyć, z którego to kościoła dochodziły dźwięki dzwonów, gdy Giovanna mówiła swoje patetyczne słowa o miłości. Ale kościoła w pobliżu osterii nie znalazłem: musiał stać gdzieś w ukryciu poza domami. Na niewielkim i pustym placu drzemał tylko przygarbiony człowiek z brązu, jakiś poeta, może malarz, nie ścienny. W głębi placu przemknęła chuda i wysoka postać Giovanny i zatrzymała się w jednej z bram. Tam Giovanna postała chwilę szepcząc ze swymi kobietami, po czym poprowadziła je za sobą w tę stronę, w której rozebrano kościół i kilka kamienic, by odkryć i wydobyć na światło dzienne szczątki dawnych pogańskich świątyń, które znajdowały się pod fundamentami kościoła.



Włochy współczesne: demonstracja garibaldczyków. W środku po lewej: pułkownik Valerio, który wykonał wyrok na Mussolinim

Tak tu wszelka nadbudowa, jaka by nie była — świecka czy kościelna — ustępuje dawnej, rzym- [illegible] stanąć na czymś tak szacownym jak starorzymski zabytek.

Tych szacownych szczątków, pieczołowicie wydobytych spod kościoła, jest zresztą niewiele: zaledwie zarysy dawnych fundamentów, zaledwie jakaś jedna i druga potrzaskana kolumna, jakieś schody, kawałek ściany, kawałek podłogi, kawałek sufitu. Wystarczy to jednak, by kościół czy nie kościół poszedł z tego miejsca precz.

W chwili, gdy na to patrzę, cała ta rzecz służy tylko jednemu chłopakowi wiejskiemu i jednej kobiecie, starej kobiecie wiejskiej, prawdopodobnie jego matce, z którą usiedli na dwóch ściętych kolumnach, jak na dwóch pniakach w lesie. Także i oni jedzą jajka gotowane na twardo, jedzą chleb i mają trochę wina w „fiasco" w koszyku. To wino kobieta przyniosła ze sobą z domu, gdyż bardziej opłaciło się nieść je tutaj i tutaj wypić, niż sprzedać kupcom za tanie pieniądze, aby kupić szlankę za drogie. Przyszli tutaj siąść sobie spokojnie na tych kawałkach kolumn, przyszli tak, jakby rzecz działa się nie w obecnych czasach, tylko w czasach innych, sprzed dwóch tysięcy lat, gdy w to miejsce przychodzili ich dziadowie. Przyszli i usiedli tak, jakby całe te dwa tysiące lat chrześcijaństwa w ogóle nie istniały, albo jak gdyby zniknęły jak ten kościół, nie pozostawiając po sobie śladu.

Czy z powodu usunięcia tego kościoła nie powstanie z czasem legenda o biednym księdzu, niosącym kościół na plecach i nie wiedzącym, gdzie się z tym kościołem podziać, nie wiem.

Wiatru jest trochę na placu Jezusa. Dla wyjaśnienia nazwy tego placu wymyślono historyjkę ubogą, którą kiedyś, odkrywając może Rzym powtórnie, będzie się odgrzebywało z zapomnienia.

„O Jezu, o Jezu" mówiły kobieciny, gdy im opowiadano tę dziwną historię i stąd, według gadki, powstała nazwa placu.

Zdarzyło się — jak mówi ta gadka — że swego czasu przechodzili tędy zaprzyjaźnieni ze sobą wiatr i diabeł. Nie jakiś oczywiście straszny żydowski Szatan z pustyni, okropny Lucyfer czy Belzebub, tylko zwyczajny czarcina europejski, taki, jakim go sobie, według naszej wyobraźni, stworzyliśmy. Ten, przechodząc mimo, postanowił wstąpić do kościoła na zdrowaśkę, i prosił wiatr, by na niego zaczekał.

Co się z diabłem stało, nie wiem i nie mówi o tym gadka. Może nawrócił się do reszty, biedny czarcina, może został w kościele i służy za ministranta, bo to przecież, podobno, także i diabeł nieraz zmienia skórę, jak mówi przysłowie.

„Zaczekaj na mnie" — powiedział do wiatru, wchodząc do kościoła. Wiatr czeka na niego do tej pory. Czeka cierpliwie, wszystkie te lata, czeka rzeczywiście. Jego obecność każdy tu czuje. Wieje z krzywej uliczki przykościelnej, zrzucając gazety z pobliskiego kiosku i wieje za mną aż do tej uliczki cichej i spokojnej, w której pod murem stoi ciężko bity przez żandarmów stary człeczyna z marmuru, niejaki „Abate Luigi".

Biedny „Abate Luigi". Jego nieszczęściem było to, że marmur, z którego jest wykuty, służył kiedyś ludziom do przyklejania na nim „wywrotowych haseł". Toteż bity był przez starorzymskich żandarmów nieraz. Rozbity był na ka- [illegible] mał jednak wszystkie prześladowania. Posklejano go, nawet przyprawiono mu rękę, którą stracił. W drugiej do tej pory trzyma rolkę zwiniętego papieru — przetrwawszy królów, cesarzy, imperatorów, papieży, dyktatorów i różne tutejsze republiki, mocniejszy od najmocniejszego rządu, zyskał sławę na świecie.

Jeszcze sławniejszy od niego, służący tym samym celom „Pasquino", który stoi na placu, noszącym jego imię, był wiele razy „aresztowany" w czasie swego istnienia i ukrywany w podziemiach; i on zwycięsko, choć bardzo pokiereszowany, przeżył prześladujące go „reżimy". Nie ma już rąk, nawet kikutów, twarz mu zatarto, powrócił jednak na swe miejsce pod mur, by stać tam jak biedny inwalida, „ofiara terroru", dziś już na łaskawym chlebie, gdyż nie nosi więcej na sobie powstałych od jego imienia „paszkwilów".

Bogusław Kuczyński

WYSTAWA SZTUKI LUDOWEJ W KRAKOWIE



Obecną wystawę Sztuki Ludowej w Polsce urządzono w Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie. Wystawa ta przytogotowana z wielkim nakładem pracy, jest ważnym wydarzeniem w naszym życiu kulturalnym.

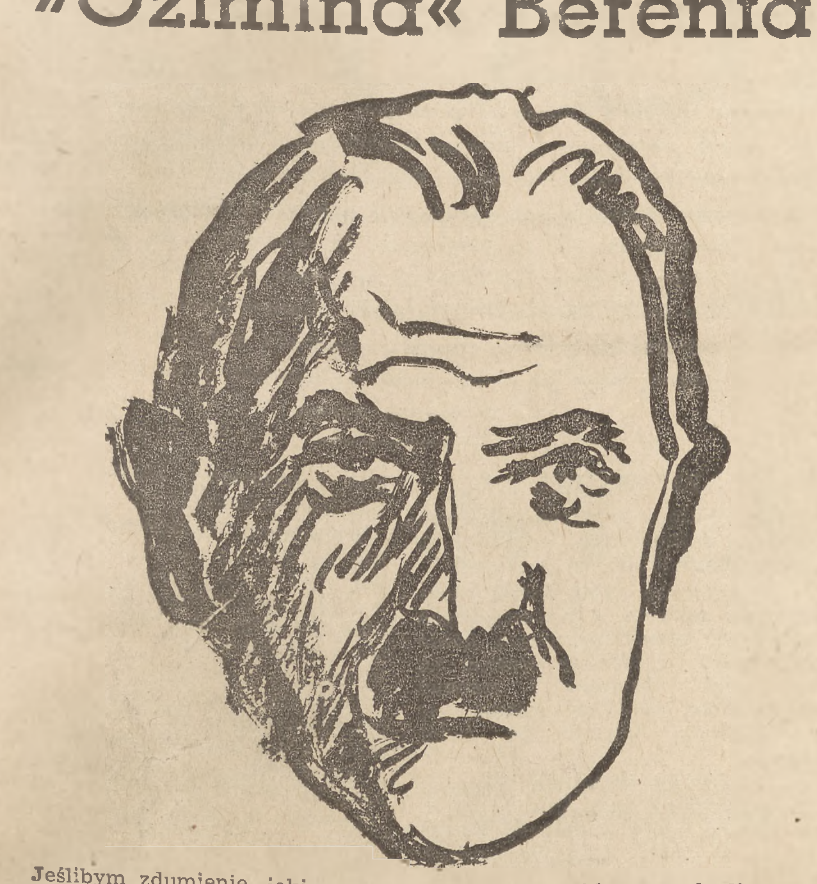
Doskonałą pomocą przy zwiedzaniu wystawy jest katalog, poprzedzony wstępem prof. Seweryna.

Zebrane eksponaty są wielokiekowym dorobkiem samorodnej twórczości ludowej, nieraz anonimowej. Można w niej odkryć wiele pokrewieństw ze starożytną sztuką Wschodu przez sztukę romańską, gotycką aż do współczesnych, najwybitniejszych nowatorów.



Kartki z dziennika lektury

»Ozimina« Berenta



Jeślibym zdumienie, jakim napełnia mnie berentowski styl w „Oziminie", miał do czegokolwiek przyrównać, to do tego chyba jedynie szczególnego i nieco niepokojącego zadziwienia, w które człowiek popada zazwyczaj na widok dwugłowego cielęcia, lub zrośniętych ze sobą syjamskich braci. Bo czyż nie ma w sobie czegoś z przewrotnego wybryku natury takie np. zdanie: „Pogonił za nim wiolonczeli ton podrywny, zaczepny, za poły jakby targający, i basetli chichot niski, niby pijanego śmiech; a ponad nimi skrzypiec zew aż łkający w rozśmiechach radosnych — musowała lekka pianka powierzchnego życia, pianką jeno pustą wypełniając czarę młodości niejedną". Albo: „Podjęła się, podhycła i nastawiła mu się w oczy jak to zwierciadło złe: — ujrzał twarz krasolicy popielną i złote oczy ogromne".

Muszę szczerze wyznać, że „Próchna" i „Oziminy" nigdy nie zdołałem doczytać do końca. Nawet piękna proza ostatnich utworów Berenta („Diogenes w kontuszu" i „Szabla i duch") nie ułatwiła mi kontaktu z jego powieściami dawniejszymi. Postanowiłem zatem po wielu latach raz jeszcze spróbować. Zabrałem się do „Oziminy". Owszem, tym razem dobrnąłem do ostatniej stronicy, lecz po to chyba przede wszystkim, aby stwierdzić, że dzisiaj jest to książka jeśli nie zupełnie, to w każdym razie mało czytelna. I z pewnym niepokojem można myśleć o upodobaniach artystycznych epoki, która by w „Oziminie" zechciała kiedyś dojrzeć wzór dobrej literatury. Cóż za szkoda! Przedzierając się przez wynaturzone słownictwo i chorobliwie wykrygowane zdania ciągle jednak myślałem, jak znakomitą powieścią mogłaby się stać „Ozimina", gdyby dla nieporównanie świetnego pomysłu twórczego potrafił był Berent znaleźć właściwy wyraz artystyczny.

Trzeba cofnąć się o blisko czterdzieści lat („Ozimina" ukazała się w roku 1911), aby zdać sobie sprawę, jak nową w naszej prozie i odkrywczą była koncepcja „Oziminy". Pomyślana jako warszawski odpowiednik krakowskiego „Wesela", miała ambicję pokazania w ramach jednej nocy marazmu i słabości społeczeństwa polskiego w momencie wybuchu wojny rosyjsko-japońskiej. Bronowicka chata Wyspiańskiego stała się u Berenta wielkoświatowym salonem warszawskim w przededniu rewolucji. Była to pierwsza bodaj w naszej prozie świadoma i na taką miarę podjęta próba udramatyzowania epickiej narracji. Ileż w tej powieści wątków uczuciowych i myślowych, jakie bogactwo problemów i jaka potencjalna siła pulsuje w dramatycznie skonstruowanych sytuacjach! Niestety ten projekt na arcydzieło jest nieczytelny. Jeden z moich znajomych twierdzi, że „Ozimine" należałoby przetłumaczyć na język polski. Zdanie po zdaniu. Wtedy dopiero stałaby się strawna. Oczywiście to żart. Ale jak mi się zdaje niezupełnie trafny. Artystyczne wynaturzenie „Oziminy" tylko przy powierzchownej lekturze wyraża się w dziwacznej stylizacji języka. Styl Berenta jest tylko wtórną warstwą schorzeniową, chociaż najbardziej jaskrawą i budzącą obecnie sprzeciw najsilniejszy. Ale jak zwykle w literaturze, gdy skrzywieniu i degeneracji ulega styl, i w tym wypadku proces chorobowy sięga głębiej w strukturę powieści. Źródeł jego szukać by należało w tych wyobrażeniach twórczych Berenta, które skłoniły go, że w taki właśnie, a nie inny sposób powieść swoją był napisał.

Stylizacyjna ornamentyka „Oziminy" w znacznej mierze ukształtowała się pod wpływem ówcześnie rozpowszechnionego smaku literackiego. Żaden jednak z pisarzy większej miary nie zabrnął wówczas na tej drodze tak daleko, jak Berent w „Próchnie" i „Oziminie". A przecież, w porównaniu z uczuciowym i skłonnym do lirycznych wzruszeń Żeromskim, Berent wydaje się typem chłodnego intelektualisty. Był jednym z niewielu u nas pisarzy o dużym i solidnym wykształceniu przyrodniczym. Studiował w Zurychu i Monachium. Doktoryzował się w Jenie. Skąd więc po takim przygotowaniu naukowym i po równowadze stylistycznej „Fachowca" i „Nauczyciela" to nagłe, już w wieku dojrzałym, zanurzenie się w ciemną, bełkoczącą gmatwaninę?

Materiał, który wykorzystał Berent, podejmując w „Oziminie" aktualne wątki społeczno-polityczne, może stwarzać złudzenie, że książka jest powieścią realistyczną. Ale to pozory tylko. Wystarczy uważniej się przyjrzeć, w jaki sposób charakteryzuje Berent swoje postaci. Kilka typowych dla jego maniery przykładów:

„On powstał był od stołu w automatycznym sprężeniu. I wykroczył sztywno z pokoju, mijając gwar ludzki błędnymi oczami".

„Omotawszy szyję i dekolt białopuszystym „boa", w ramienia sztucznym wygięciu suknię z tyłu pod stanem z lekka unosząc, piersią wypukła, biodrami wypięta, płynęła znowóż przez salę — cała w esach, w zygzakach, w arabeskach, w barokowej fanfarze wielkostołecznego szychu".

„Zorzą miejskiego świtu podpylną, ceglastą obrysowana, widniała tu w oknie postać męska jak na ekranie płomiennym. Ociężała i wielka, tyłem do szyb zwrócona, z twarzą pod ten blask na wejrzenie zatartą, spoglądała tylko przed się głową graniastą i skośną opaską czoła".

Myślę, że w takich właśnie nadnaturalnych kształtach ukazywać się musieli Guliwerowi mieszkańcy Krainy Olbrzymów. Tęsknoty ówczesnej epoki do wielkości, owe „sny o potędze", rojenia o mocy duchowej, prometeizmie i tytanizmie, w różnych odmianach i różnymi odcieniami nasycone w twórczości Wyspiańskiego, Kasprowicza, Żeromskiego czy Micińskiego, u Berenta w okresie pracy nad „Oziminą" wyraziły się w bardzo szczególny sposób. Ludzie, którzy zapełnili rozliczne pokoje i sale warszawskiego salonu, wystylizowani zostali na olbrzymów. Snują się w ową noc podobni trochę do gigantycznych widm, równie odrealnieni, jak w wiele lat później oderwane zostaną od rzeczywistości pokraczne gnomy Bruno Schulza, z tą tylko różnicą, że gdy Berent usiłował pokazać świat w wymiarach monumentalnych, autor „Sklepów cynamonowych" tenże sam świat sprowadził do kształtów skarlałych, lękliwie wegetujących. Trudno jednak o klęskę artystyczną bardziej przejmującą nad tę, którą poniósł Berent. „Ozimina" nie mogła być napisana innym językiem. Fałszywie zarysowana wizja rzeczywistości musiała znaleźć stylistyczny wyraz w fałszu artystycznym. Berent pracował nad „Oziminą" przez wiele lat i znając jego system pisania łatwo się domyślić, że styl swojej powieści kształtował z wielkim mozołem, pragnąc uczynić z niego mowę jakby z kamienia wykutą, trudną, precyzyjnie wyrzeźbioną i wiernie odpowiadającą wywołanej wizji. W intencji autora styl „Oziminy" miał być zapewne stylem monumentalnym. Ileż wysiłku poszło na marne! Z ogromnych twórczych zamysłów Berenta pozostały tylko ludzkie cienie, skazane od pierwszej chwili istnienia na samotną, hermetyczną wielkość. Te koturnowe postaci nie odpowiadają żadnej rzeczywistości obiektywnej, a styl, który miał utrwalić ich nadludzkie kształty, kłóci się z elementarnymi zasadami językowej logiki. Cóż? Ludzie, powoływani przez pisarzy do życia w powieściach, nie powinni sprawiać wrażenia, że wzrost ich przekracza dwa metry. O ile dobrze pamiętam, Julian Sorel nie był wysoki. A pan Pickwick był wzrostu wręcz miernego.

Jerzy Andrzejewski

Ossolineum żyje

Wbrew twierdzeniom rozmaitych pesymistów, dla których umieszczenie zbiorów Ossolineum a wraz z nimi centrali Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu było co najmniej lekkomyślnością, Ossolineum staje na mocnych podstawach i rozwija skrzydła. Po okresie aklimatyzacji jest już dzisiaj ogniskiem kultury i nauki polskiej we Wrocławiu, ogniskiem, które promieniuje nie tylko na Ziemie Odzyskane. Placówka ta, o znanej tradycji kulturalno-oświatowej, znalazła dla siebie odpowiednie ramy, wrosła w nowe warunki tak — jakby od dziesiątek lat była tu na swoim miejscu. Nie przychodzi jej to łatwo, gdyż dotychczas nie otrzymało Ossolineum zdecydowanego opiekuna. Pieczołowicie dotowane przez Prezydium Rady Ministrów, ale — na marginesie jego zobowiązań; w sferze zainteresowań Ministerstwa Oświaty — ale bez zależności finansowej; w kręgu merytorycznych poczynań Ministerstwa Kultury i Sztuki, ale — traktowane jak niewygodny kopciuszek; na podwórku Ministerstwa Ziem Odzyskanych — pozyskuje sobie pierwszych przyjaciół.

Mimo licznych trudności odbudowa wielkiego reprezentacyjnego gmachu nad Odrą, przeznaczonego na Bibliotekę i wszystkie jej działy, oraz Muzeum dobiega końca. Nie sposób również szybko podołać koniecznym inwestycjom. Konstrukcje żelazne magazynów, montowanie i usprawnienie instalacyj wewnętrznego urządzenia wymagają jeszcze dużych wkładów, i wielu wysiłków, ale minął już okres zmagań o dach nad głową.

Przestronne sale przeznaczone na pracownie rękopisów i starodruków otworzą wkrótce swoje podwoje dla tych wszystkich, którzy zjeżdżać tu będą dla czerpania wiedzy o ubiegłych stuleciach. Znajdą skarbnicę nieopracowanych dotychczas licznych i cennych rękopisów. Historia średniowieczna, najnowsze dzieje kultury pokoleń, skarby wiadomości gospodarczych i ekonomicznych, cenne archiwa, perły autografów literackich, oto czego dostarczyć mogą miłośnikom tych dziedzin zbiory rękopisów ossolińskich. Zbiory te, to zasługa pokoleń wszystkich warstw społecznych. Ma tu swoje zasługi skromny drukarz i cichy pracownik naukowy. Archiwa magnackie w zaniedbaniu wyrzucane nieraz na strychy pałaców — odnalezione nieraz przypadkiem, przewiezione i uporządkowane stają się skarbnicą wiedzy o minionych czasach.

Liczymy je na tysiące. Dzieje ich są niecodzienne. Różne były ich koleje. Część ich przywieziona dwoma transportami ze Lwowa, część uratowana w stajni adelińskiej na Dolnym Śląsku wśród nawozu i słomy, gdzie wywiezione przez Niemców, narażone na zniszczenie zupełne, doczekały się ochrony i dalszej opieki.

W tej chwili liczne grono pracowników przygotowuje te skarby do udostępnienia ich szerokim kołom naukowców. Przeglądają każdy rękopis, sprawdzają jego zawartość i ewentualne braki — przygotowują inwentarz, tak potrzebny dla zaznajomienia społeczeństwa z tym, co posiada Ossolineum w obecnej chwili we Wrocławiu.

A oto znów dzieło pracowitych rąk ofiarnych Ossolińczyków: setki skrzyń rozpakowanych książek. Bez względu na wykształcenie i stopień naukowy rozpakowywali i nosili książki wszyscy. — Rozładowanie 400 skrzyń i umieszczenie książek na prowizorycznie zmontowanych półkach w dużej auli nie było rzeczą łatwą i prostą. Stąd w hierarchii potrzeb przenoszone są kolejno do działu opracowania, gdzie powoli pęcznieją katalogi. Do chwili obecnej uprzystępniono 60 000 pozycyj. To duże osiągnięcie, jeśli się zważy warunki dotychczasowej pracy i niewykwalifikowanie młodych sił pracowników. Mimo tych trudności już od września ub. roku otwarta jest czytelnia, prowizoryczna wprawdzie — ale czynna od 8-ej rano do 7-ej wieczór. Korzystają z niej profesorowie uniwersytetu, młodzi naukowcy, słuchacze wyższych uczelni, studenci szkół różnych i każdy, kto chce otworzyć polską książkę we Wrocławiu, a nie ma pieniędzy na jej kupno lub wypożyczenie.

Działalność Ossolineum nie ogranicza się jedynie do opracowywania i uprzystępnienia uratowanych cennych zbiorów ossolińskch. Poważny dział, mający dać podstawy materialnego bytu Bibliotece, to Wydawnictwo.

Wydawnictwo ma spóźniony start. Powie to każdy śledzący obecny ruch wydawniczy. Ma ono jednak swoje poważne atuty:

1) osiągnięcia przedwojenne: pięknie zapisane karty na polu szerzenia kultury i nauki wśród szerokich warstw społecznych i kształcącej się młodzieży.

2) zrozumienie i poparcie rządu w obecnych swoich poczynaniach,

3) rola, jaka przypadła Ossolineum na Ziemiach Odzyskanych.

W pełnym zrozumieniu obowiązków, które na nim ciążą Wydawnictwo Ossolineum rozwija pracę w określonym kierunku. Wznowieniem Biblioteki Narodowej chce dać odpowiednio opracowane arcydzieła literatury naszej i obcej dla szerokiego ogółu kształcącej się młodzieży. Tomiki te będą również i pouczającą lekturą dla wszystkich, dającą we wstępach szeroki wgląd w zagadnienia związane z omawianym dziełem i epoką, w której powstały.

Drugim celem Wydawnictwa, to szerokie, naukowe opracowanie literatur słowiańskich i wzajemne ich wpływy.

Ossolineum umieszczone nie przypadkową zachcianką poszczególnych osób, ale przemyślane decyzją Rządu na terenie Ziem Odzyskanych ma i na tym odcinku wytyczoną piękną drogę. — Ma wróść w te ziemie szeroką podstawą swojej działalności. Związać mieszkańców z kulturą rodzimą a przybyszów z ziemią, na której osiedli. Planowany dział książki dla Śląska o Śląsku, to poważnie przemyślana praca kulturalna na okres asymilacji.

Tych parę szczegółów o Ossolineum o jego zamierzeniach i rozwoju da ogółowi społeczeństwa wgląd w jego wartość ogólnopaństwową i w jego prace organizacyjne. Ossolineum, to nie kompleks budynków nad Odrą, to nie półki pełne książek, to nie zwykła biblioteka lub obliczone na zyski Wydawnictwo. To wspólny wysiłek pokoleń, który dowodzi niezbicie, że istnieje coś więcej niż czas, niż trudności wojennego rozbicia. Coś, co łączy przestrzenie i ludzi.

Dzisiejsze Ossolineum ma być, niewątpliwie lepsze **od tego, które było.** Zwykły to obowiązek następujących po sobie pokoleń. Nie tylko jednak od fanatycznie przywiązanych do instytucji dawnych i nowych ossolińczyków zależeć będą drogi dalszego jej rozwoju.

hd

Notatnik muzyczny

Na linii Amsterdam—Warszawa

Owe biedne lwy, obwożone po różnych miastach i kontynentach naszej planety, muzycy-wirtuozi, zwożą nam pełno nowinek.

Pomijając już sprawę sakramentalnych dwóch jajek, które konsument otrzymuje, bodajże raz na miesiąc na wyspach brytyjskich, dowiadujemy się — jak to w życiu — rzeczy sprzecznych i rzeczy stereotypowych. Do sprzecznych należą sprawy nowe, żywe, podlegające ustawicznym zmianom. A więc, dla jednych straszak, dla drugich cel i sens życia: „muzyka współczesna".

„Chroń nas — Panie — od kiepskich obrońców", mogłoby być hasłem kompozytorów.

Wiadomo: sztuka jest dobra i zła. Z dzisiejszą, to już musimy my sami wybierać, nikt nas w tym nie zastąpi.

Międzynarodowe Towarzystwo Muzyki Współczesnej urządza corocznie festival w którejś ze stolic naszego padołu. W tym roku padło na Amsterdam. Jak to zwykle bywa, gospodarze wzięli 3 miejsca, z urzędu się to im należy, a potem, najlepszą przesyłką muzyczną okazała się przesyłka polska. Na 7 nadesłanych przez nas dzieł wybrano 3, tyle co u Holendrów. Tak więc Polska zajęła w Amsterdamie pierwsze miejsce. Potem idzie Anglia i Francja, reprezentowane po dwa dzieła — wszystkie inne kraje po jednym, lub bez żadnego dzieła.

Z polskich kompozycji międzynarodowe jury w składzie: Palester (Polska), Ibert (Francja), Rawsthorne (Anglia), Landré (Holandia), Severud (Norwegia) wybrało: Etiudy Symfoniczne na fortepian i orkiestrę Artura Malawskiego, Kołysankę na 29 instrumentów smyczkowych i 2 harfy — Andrzeja Panufnika i Sonatinę na obój i fortepian Antoniego Szatkowskiego. — (W nawiasie przypomnę, że jeden z tych „notatników" poświęcony był niemal w całości „Kołysance" Panufnika).

Ze 180 przeszło dzieł nadesłanych z całego świata, jury wybrało programy 3 koncertów symfonicznych i 2 kameralnych. W tej trudnej selekcji Polska stanęła pierwsza, a prezes Międzynarodowego Towarzystwa Muzyki Współczesnej, ze świadczył naszemu pianiście Zb. Drzewieckiemu, w czasie jego tournée po Anglii, że całość polskiej przesyłki (7 dzieł) była najlepsza.

Nie pierwszy raz zajmujemy na forum międzynarodowym tak poczesne miejsce. Drzewiecki, który jest prezesem polskiej sekcji Towarzystwa Muzyki Współczesnej ze słuszną dumą przywozi te wiadomości. Nieliczna stosunkowo ekipa naszych kompozytorów sprawia się nieźle, nie przynosi nam wstydu. Współzawodnictwo nasze na polu muzycznym, to już nareszcie walka równych z równymi.

Można się spierać, można dyskutować bez końca o prądach, stylach, manierach panujących w sztuce dzisiejszej. Pamiętajmy jednak zawsze o jednym: twórczości się nie zatrzyma. Można ją stłumić, wojny mogą ją chwilowo oślepić, ogłuszyć. W końcu jednak dzieje się zawsze to samo: prawdziwy artysta wyraża nas zawsze. Ile razy się pojawi, ten prawdziwy — tyle razy zwycięży, choćby mu rzucano pod nogi całe barykady koltuństwa, obskurantyzmu, złej woli i niedowiarstwa. A już zawsze się w końcu jakoś pokaże, kto jest prawdziwym artystą.

Pełen myśli o Amsterdamie, do którego pociągi uwiozą w czerwcu kilku naszych muzyków, szedłem do Filharmonii, radując się, że usłyszę koncert fortepianowy (Es-dur) Beethovena. Taki „zdrowy Beethoven", to zawsze dobrze robi! Szpinalski grał go też zdrowo. Zawsze mnie napawa zdumieniem jego pasja do muzyki i fortepianu. Nawet liryczne adagio jest u Szpinalskiego jakby stanowczą, wyraźną kreską obrysowane. A w miejscach najswobodniejszych, najbardziej „od niechcenia" brzmiących, wyczuwa się namiętną walkę z muzyką, pasję, pokonywanie elementu, które jest może najistotniejszym obliczem tego, co się składa na fenomen gry Szpinalskiego.

Tadeusz Wilczak dyrygował bardzo dobrze, z ogromnym nerwem i różnorodnością, której wymagał program: Mussorgski, Beethoven, Rytel i Kodaly.

W „Świętym gaju" Piotr Rytel zestawia z wielką umiejętnością efekty patetyczne i liryczne. Panuje nad techniką instrumentalną, używając wagnerowskiego przeważnie języka, rysując namiętne figuracje smyczkowe na tle odurzającej nas potęgą brzmienia blachy. Wielkość ładunku emocjonalnego nie zawsze jednak decyduje o wartości dzieła sztuki. Czasami język skromny, krótki szept, rytm, pauza, więcej zaważą niż arabeska rysowana na pamięć, „od ręki", czy całe niebo, walące się na nas, wraz z kotłami, Olimpem i rekwizytornią, w której zbroje są lekkie a miecze drewniane.

Gorące oklaski dowodziły — jak to często bywa — krytykier swoje, a publiczność swoje. Dzięki Bogu, że nie wszyscy na świecie są tego samego zdania. Byłoby szalenie nudno. Piszę, oczywiście, tylko o sztuce.

Zygmunt Mycielski

KĄCIK CZŁONKÓW KLUBU „ODRODZENIA"

Na powitanie zawiadamiamy Klub, że w dniu dzisiejszym przekroczyliśmy liczbę **12500 członków.** Jest to dowód niezwykle szybkiego zrozumienia akcji klubowej przez szeroki ogół Czytelników „Odrodzenia". Jest to też dowód, że akcja klubowa była bardzo potrzebna.

Nie wątpimy, że każdy członek naszej Rodziny Klubowej, jak najlepiej jej życzy: rozwoju klubu, wysokiego poziomu i najtrafniejszego doboru książek. Dlatego też prosimy o listy do redakcji we wszystkich sprawach z tym związanych. Cenimy wysoko wszelkie pochwały; równie cenimy obiektywną i rzeczową krytykę, czego dowodem jest zamieszczanie różnorodnych listów w numerze 9 tygodnika „Odrodzenie". Wasze słuszne uwagi na pewno przyczynią się do usprawnienia działalności Klubu, a Wasza krytyka książek jest nie tylko cenna dla zespołu redakcyjnego, ale i dla autora książki. Klub daje jedyną sposobność autorowi i czytelnikowi do wymiany opinii, do spojrzenia sobie w oczy.

Dyskusję nad „Pożegnaniami" Stanisława Dygata zamkniemy w następnym Kąciku — ponieważ w marcu ukaże się już druga książka klubowa, „Krawędź" Wacława Rzezacza (tłumaczenie z języka czeskiego), którą zajmiemy się z kolei. (Niech drży Wacław Rzezacz!) W numerze więc kwietniowym postaramy się zsumować Wasze opinie, wciągnąć do dyskusji autora „Pożegnań" i określić stanowisko redakcji Klubu.

Dziś podajemy jeszcze dwie bardziej zdecydowane wypowiedzi: Pani E. Stachurska z Krakowa (nr leg. 2915) pisze:

„Z prawdziwą przykrością donosimy, iż na pierwszej książce, wydanej przez KLO, zawiedliśmy się sromotnie. Postaramy się wytłumaczyć dlaczego: 1) Oprawa, czyli tzw. szata graficzna jest niemal tandetna 2) Kartki nie są porozcinane — a przy rozcinaniu „prywatnym", choćby bardzo ostrożnym — strzępią się i książka taka nie wygląda wcale imponująco. 3) Wartość książki jest bardzo wątpliwa. KLO zapowiadał wydawać dzieła o „wysokiej wartości literackiej" — a tymczasem... na przykład podaję str. 73. Styl zaiste „wysoce literacki" świadczący o moralności autora i jego „zmyślonych bohaterów"! Przykładów na ten fakt — wyjętych z samej książki, można by przytoczyć bardzo wiele. 4) Książka jest zwykłą bezwartościową „szmirą" i w całości nie warta 300 zł.

Doprawdy wcale nie zachęcający początek.

Mamy jednak nadzieję, że następne dzieła będą lepsze i koniecznie porozcinane maszynowo.

Prosimy wybaczyć naszą szczerość, ale to było ze strony Klubu naprawdę brzydkie pociągnięcie. Wznieś się Klubie na zapowiedziane z góry wyżyny — bo uczestnicy zaczną mówić „good-by" (!)

Pozostawiając sprawę punktu 3 i 4 do omówienia w najbliższym kąciku, chcielibyśmy zaznaczyć, że „szata graficzna" książki (miękka okładka) nie jest gorsza niż wielu innych książek wydawanych przez „Czytelnika". Jeśli zaś idzie o rozcinanie „prywatne" książki — wielu członków życzyło sobie, aby kartek nie rozcinać, gdyż pozbawia się przez to właściciela pewnej przyjemności.

A oto list p. Banaszyńskiego M. ze Szprotawy: (nr leg. 3046).

„To, co pragnę w tym liście powiedzieć, mogłoby być bezpośrednio skierowane do p. Stanisława Dygata, również jednak może być odpowiedzią na apel zamieszczony w Kąciku Klubu, by wyrażać swe opinie o pierwszej książce Klubu. Książkę otrzymałem prędzej, niż spodziewałem się jej nadejścia. Legitymację także. Dziękuję. Jestem młodym studentem, Wydz. Humanistycznego Uniw. Poznańskiego. Dziwnym, choć bardzo realistycznym zrządzeniem losu znalazłem się w małej mieścinie Dolnego Śląska. Po bogatym we wrażenia kulturalne Poznaniu, trudno było oswoić się z rzeczywistością tutejszą, w której jedynymi łącznikami ze światem „ducha" jest „jedyny" kiosk, w którym raz na trzy tygodnie można dostać jakie takie czasopismo. Drugim łącznikiem jest „jedyne" kino, wyświetlające makulaturę filmową. To wszystko. Fakty te nie wymagają komentarzy, mówią same za siebie. Komentarzem też nie potrzebuję zaopatrywać twierdzenia, że wiadomość o powstaniu Klubu Literackiego przyjąłem w tych warunkach aż żywiołowo. Radośnie. „Pożegnania" wziąłem do ręki w jeden z takich wieczorów, które poświęca się na wypoczynek. Gdy odwróciłem ostatnią kartkę, gdy zdanie: „Ba, tyle lat!" zakończyło słowny film niedawnego życia, przekonałem się, że ta książka obudziła wiele myśli, że należy do kategorii „czytanych jednym tchem". Że jest świeża, zamykająca przeżycia wielu lat i wielu ludzi, w ciekawych opisach i bajecznie misternych (może dzięki ich naturalności) dialogach. Jedno tylko stwierdziłem poza tymi wszystkim superlatywami, że autor dopuścił się kłamstwa. Tak! Kłamstwa zawartego w jednym zdaniu: „wszystkie postacie i zdarzenia tej powieści są zmyślone". Klubowi wyrażam podziękowanie za wybór właśnie „Pożegnań", autorowi „Jeziora Bodeńskiego" — uznanie, a sobie życzę dalszych tego rodzaju radosnych niespodzianek. Z życzeniem milionowego członka Klubowi".

✤

A teraz kilka słów o sprawach technicznych Klubu.

Wiele osób zgłasza swoje pretensje tej mniej więcej treści: moja sąsiadka już dostała książkę klubową, a ja jeszcze nie; dlaczego?— Otóż dlatego, że książki rozsyłamy według kolejności zgłoszeń do Klubu. Manipulacje przy wysyłce pierwszej książki spóźnionym członkom zabierają trochę czasu.

Następnym powodem, dla którego książki nie docierają do abonentów, lub legitymacje członkowskie zostają błędnie wypełnione — jest niewyraźne wypisywanie deklaracji. Piszący nieczytelnie są usilnie proszeni o zamieszczanie jedynie własnoręcznego podpisu: całą deklarację należy wypełnić na maszynie — lub choćby literami „drukowanymi". O ile deklaracja — na żądanie naszej Administracji — jest wypisywana po raz drugi — koniecznie należy zaznaczyć na niej, iż jest to wtórnik. Poza tym deklaracji po raz drugi w o g ó l e nie należy nadsyłać (niektórzy członkowie czynią to przy każdej wpłacie raty).

Zwracamy uwagę członków, iż nie otrzymują oni b e z p ł a t n i e i a u t o m a t y c z n i e tygodnika „Odrodzenie" z racji przynależności do Klubu. Prenumeratę tygodnika „Odrodzenie" należy zamawiać w administracji tego pisma, przy czym członkowie Klubu otrzymują 20 proc. rabatu.

Spis książek klubowych podaliśmy w prospekcie Klubu. Natomiast za zniżką 30 proc. można nabywać wielotomowe wydawnictwa beletrystyczne „Czytelnika" (zamawiać należy w Instytucie wydawniczym W-wa Daszyńskiego 14, podając numer swej legitymacji klubowej). Wielu członków Klubu myli książki klubowe z innymi i pyta — kiedy dostanie np. „Bolesława Chrobrego" Gołubiewa. Ależ to nie książka klubowa! To „wielotomowiec"!

Na zakończenie: jeśli ktoś składa deklarację z opóźnieniem, a pragnie otrzymać pierwszą książkę Klubu — niech wpłaci zaległe raty (od grudnia) jednorazowo i — z a z n a c z y na deklaracji, od którego miesiąca uważa się za członka Klubu. Zwracamy uwagę, że zapisywać się można również od miesiąca lutego (w sensie płatniczym), otrzyma się wówczas 5 książek do końca roku.

Odpowiedzi na listy ze względu na brak miejsca zamieścimy w następnym Kąciku.

CHERI BRANDYS

Akurat 19 stycznia siedziałem w „Emilinie“, niewielkim mająteczku matki mojej żony (żeby nie użyć terminu „teściowa“) — kiedy rozległ się wielki głos matki mojej żony, wzywającej mnie do siebie, na górę. Nie poszedłem od razu, ponieważ wiem, że na wsi obwieszcza się wielkim głosem tylko nieszczęścia, a o dobrym urodzaju, lub o tym, że klacz oźrebiła się zdrowymi trojaczkami, donosi się szeptem, żeby nie uroczyć. Zresztą i w mieście postępują podobnie rozsądni podatnicy. Świadom wielkiej prawdy, że z nieszczęściem jest na odwrót niż z dzieckiem — rodzi się wielkie, potem maleje — wolałem ujrzeć oblicze „dziedziczki“ po ustąpieniu pierwszego bólu. Wołanie powtórzyło się jednak i to w tonie kategorycznym. (Stare dziedziczki ocaliły z pożogi demokracji tylko ten ton). Idąc do góry po krętych schodach, zastanawiałem, się czy któryś z koni złamał nogę, czy też okoliczni złodzieje wykradli ze stodoły ziarno na zasiew.

W pokoju dziedziczki zastałem pana Radzimirskiego, gospodarza z sąsiedztwa. Oboje mieli miny tajemnicze i uroczyste. — Co się stało? — spytałem od progu. — Zgadnij, kto dostał nagrodę literacką miasta Warszawy? — Nieszczęście okazało się znacznie większe, niż mogłem przypuścić. Ktoś z moich znajomych otrzymał dwieście tysięcy złotych; nie wiedziałem jeszcze który W każdym razie — nie ja. A to jest przecież istotne. Dla złagodzenia bólu zacząłem wymieniać nazwiska pisarzy, których nie znam osobiście, albo takich, których nazwiska umniejszyłyby literacką wartość nagrody. — Szczawiej... — rzuciłem bez przekonania. — Dlaczego Szczawiej? Kto to jest Szczawiej?— zdziwili się oboje. „Nieszczęście skazuje człowieka na nieoczekiwane towarzystwo“ — powiada, zdaje się, Szekspir. Dla złagodzenia bólu gotów byłem bronić kandydatury Szczawieja — Szczawiej redaguje przecież całe pismo „Warszawa“...— Nie przekonałem ich, bo nie czytują „Warszawy“. A może czytują?... — Dzikowski... — próbowałem — autor „Niemca wykpionego“... — Nie kpij... powiedziała dziedziczka. Widziałem, że muszę sięgnąć do nazwisk znanych mi pisarzy. Wybrałem więc przynajmniej tych, których twórczość nie koliduje z moimi ambicjami. Krytyków i poetów. — Ryszard Matuszewski! — zawołałem. — Dlaczego Ryszard? Co on ma wspólnego z Warszawą? — Jakto co? Jedyny literat, którego przedwojenne mieszkanie stoi nienaruszone w Warszawie.. — Powiem ci... — zdecydowała matka mojej żony, widząc, że żartuję. — Nie! — Wołałem jeszcze odwlec tę straszną wiadomość — Stanisław Ryszard Dobrowolski... — Milczeli, nabrałem więc nadziei — On jest taki „na wichrze“, broniewski, patetyczny, romantyczny.. — Ciepło, ciepło! — zawołała dziedziczka — romantyczny i patetyczny! — Brandys — wycedziłem. Domyślałem się od początku że to on właśnie otrzymał nagrodę.

Pan Radzimirski przyniósł przed chwilą tę hiobową wieść. Usłyszał ją przez radio i był bardzo wzruszony. U niego to właśnie, w sąsiedniej zagrodzie, mieszkali Brandysowie 17 stycznia 1945 roku, od niego to wyszedł opowiadający „po mięso a spotkał wolną Polskę“. —

— Miasto Niepokonane? — dziwiłem się dalej, usiłując stłumić ból. — Czy nie za bardzo patetyczne, za bardzo romantyczne i... odbiegające od linii politycznej? — A czy Warszawa nie jest romantyczna i patetyczna i... czy nie odbiegała od linii politycznej... — Dziedziczka mrugnęła siwą rzęsą. — Zresztą — dodała po chwili — z Brandysem i z linią polityczną jest jak z górą i Mahometem. Nie przyszedł Brandys do linii politycznej, przyszła linia polityczna do Brandysa... po trzech latach stajemy się znowu patetyczni, romantyczni... — Zapewniłem ją, że nie, ale ciągnęła dalej. — Obawiam się, że kiedy ukaże się „Samson“, potępią go za to, że jest zbyt realistyczno-pozywistyczny.... —

— A mnie się zdaje — wtrącił Radzimirski — że pan Kazimierz napisał tak, jak to było naprawdę... Myśmy tu wszyscy czytali „Miasto niepokonane“ — zatoczył szerokie koło ręką — tak było... — skończył z przekonaniem. Zdanie p. Radzimirskiego skłoniło mnie do rozmyślań nad trzema rodzajami prawd: archeologiczną, stwardniałą i zeskorupiałą, interesującą tylko archeologów, historyczną, interesującą polityków i autorów podręczników historii i prawdą literacką, interesującą każdego, najbardziej przekonywającą. Brandys przekonał naocznych świadków wydarzeń, które opisuje, że było tak, jak on opisał, a nie tak, jak oni widzieli. Nie dziwię się, że mężowe stanu coraz bardziej doceniają funkcje literatury.

Nie o to mi jednak chodzi w dzisiejszym felietonie. Jeżeli przeczerniłem powyżej moją osobę, to dlatego tylko, że wolę oczernić siebie niż kogoś, ale reakcja ludzi pióra była mniej więcej taka. Tradycyjne już w Polsce zjawisko, żeby z okazji nagrody nietylko niszczyć nagrodzonego, lecz wysuwać siebie, a od biedy kogokolwiek innego, na miejsce laureata. Kiedy przyjechałem do Warszawy, usłyszałem od razu tysiąc dowcipów o nagrodzie i nagrodzonym. Zdaje się, że sam je nawet wymyśliłem. A więc że nagroda jest przyznawana według alfabetu. Ponieważ nie ma pisarza na „A“, otrzymał ją w zeszłym roku Broniewski, w tym roku Brandys, w przyszłym Csato i tak aż do d. Że niejaki pisarz o nazwisku Niemiec miał się wyrazić o jury: „Banda, co nie chciała Niemca“ Nawet Zbigniew Mitzner, wytrawny łowca wad narodowych, nie ustrzegł się sam i felieton z okazji nagrody Brandysa poświęcił... Wiechowi.

Może i ja padłem ofiarą tradycji, bo tradycja działa podświadomie, a nawet na przekór świadomości. Jeżeli tak, przepraszam Brandysa najmocniej. Owego wieczoru wypiliśmy z panem Radzimirskim mnóstwo cherry brandy na cześć chéri Brandysa.

Jan Rojewski

Ossolineum żyje



Porządkowanie zbiorów

WYSTAWA PLASTYKI JUGOSŁOWIANSKIEJ W MOSKWIE

Wystawa malarstwa i rzeźby jugosłowiańskiej XIX i XX w., która w pierwszej połowie marca udostępniona będzie publiczności warszawskiej, spotkała się z żywym zainteresowaniem społeczeństwa i prasy moskiewskiej.

Oto wyjątki z recenzji radzieckiego znawcy sztuki A. S. Rodionowa:

Wystawa artystów jugosłowiańskich otwarta w Muzeum Sztuk Pięknych im. Puszkina w Moskwie zwróciła uwagę społeczeństwa radzieckiej stolicy.

Na kształtowanie się sztuki tak wielkich artystów jak Anton Aibe, Diordzie Andrejewić-Kun, Włacho Bukowac, Wjekoslaw Karas, Franciszek Mraz, Nadeżda Petrowić, Paweł Petrowić i inni, niewątpliwie wywarli wpływ francuscy impresjoniści, szkoła włoska oraz niemiecki salon akademizmu.

Pejzaże Dziordzia Krsticia, przedstawiciela starej generacji, odznaczają się oryginalnością wyrazu. Ma on swój własny genre, własne spojrzenie na ziemię ojczystą, które udziela się widzowi.

Jego obrazy jak i płótna Mateji Sternera, Frana Szymunowicia czy Ryszarda Jakopicia dają nam jasne wyobrażenie o Jugosławii — krainie gór i rzek, dolin kwietnych, starych miast, barwnych wsi.

Na wystawie zarówno w malarstwie, jak i w grafice i rzeźbie przeważają portrety.

W zainteresowaniu się malarzy jugosłowiańskich portretem, przejawia się chęć przestudiowania cech charakterystycznych typu swego narodu, oraz odkrycia duszy współczesnych.

Dlatego dla nas, którzy po raz pierwszy zapoznajemy się ze sztuką Jugosławii i z tym krajem, część portretowa wystawy była bardzo pouczająca.

Prace grafików jugosłowiańskich wykazują przede wszystkim duże poczucie rzeczywistości. Wrażliwe, czułe oko Ismeta Mujezinowicia Frana Szymunowicia, Bożydara Jakcy, Wiliama Sweczniaka i wielu innych, w akwarelach, sepiach, rysunkach tuszem i ołówkiem zaklęło najbardziej dynamiczne, pełne dramatyczności tematy z walki wyzwoleńczej armii marszałka Tito przeciw faszystowskim okupantom.

Portret, głęboko psychologiczna ekspresja, dynamiczny wycinek z walki, znalazły swój wyraz także w dziełach wielu artystów-grafików.

Sztuka grafików jest znacznie swobodniejsza i bardziej samodzielna niż obrazy niektórych malarzy jugosłowiańskich.

Oglądając pełen liryzmu impresionistyczny obraz Mateusza Jamy: „Wieś w zimie“, nie możemy mimo całej oryginalności pomysłu artysty wyzwolić się spod wrażenia, że oglądamy pejzaż impresjonisty paryskiego.

Prace — portrety w cynku Edwarda Kardelja, Iwana Ribara, oraz „Bojownik z Istrii“ Bożydara Jakca pociągają nas ekspresją, ostrością obserwacji psychologicznej, umiejętnością przedstawienia portretowego wyrazu z całą siłą.

Należy jedynie żałować, że graficy jugosłowiańscy mimo szerokiego zakresu tematyki poświęcają mało uwagi grafice ilustracyjnej.

Mówiąc o rzeźbie jugosłowiańskiej mam przede wszystkim na myśli Iwana Masztrowicia, Antuna Augustinczycia oraz przedstawiciela młodej generacji rzeźbiarzy — Wanję Radauszę.

W rzeźbie Jugosłowianie okazali się nie tylko oryginalnymi i samodzielnymi twórcami, lecz również artystami, od których rzeźbiarze obcych krajów mogliby się wiele nauczyć.

Artyści jugosłowiańscy w latach bohaterskiej walki o byt narodowy i niepodległość narodów jugosłowiańskich, starali się przedstawić najbardziej żywy i najbardziej przekonywający obraz bólu i radości, nadziei i cierpień swego kraju.



Petar Dobrović (1890—1942) — Stary Bepo z wyspy Hvar

CAMERA OBSCURA

CO TYDZIEŃ NAGRODA 1000 ZŁ.

Zwracamy się do czytelników „Odrodzenia“ z prośbą o współpracę w dziale **„Camera obscura“** Prosimy o przysyłanie dzienników, czasopism, broszur, ulotek i innych wydawnictw z ustępami kwalifikującymi się do „Camera obscura“ pod adresem: Redakcja „Odrodzenia“, **Warszawa, Daszyńskiego 14,** dział „Camera obscura“. Ustęp taki należy **wyraźnie oznaczyć,** najlepiej kolorowym ołówkiem. **Komentarze nie są potrzebne.** Do przesyłki należy dołączyć imię, nazwisko i adres wysyłającego. Redakcja nie zwraca nadesłanego materiału, zastrzega sobie prawo wyzyskania go w dziale „Camera obscura“. Za najlepszą rzecz danego tygodnia redakcja przeznacza **nagrodę w wysokości 1000 zł.,** którą ma prawo dzielić lub w razie braku odpowiedniej kandydatury przełożyć na następny tydzień.

ZMIANA RÓL

W artykule o krótkometrażowych filmach oświatowych czytamy w „Robotniku“ (5.II):

„Hippocampus czyli konik morski“ jest tworem o fantastycznych kształtach, przypominających konia szachowego, a żyje w oceanie na wybrzeżach Australii i stanowi rzadki okaz, ponieważ samiec, nie zaś samiczka wydaje na świat młode.

A kto, przepraszamy za wyrażenie, wykonywa uprzednio popularne zabiegi, doprowadzające owego samca do stanu błogosławionego? Samiczka?

Z CYKLU: „ŻYCIE JEST PIĘKNE“

„Trybuna Robotnicza“ (13.II) zamieszcza „Wyjaśnienie“:

W związku z art. pt. „Pan naczelnik się bawi“, który ukazał się w „Trybunie Czytelników“ z dnia 28.I, proszę o umieszczenie sprostowania:

Prawdą jest, że pod wpływem alkoholu na zabawie wigilijnej prac. OUL w Chorzowie strzelałem kilkakrotnie w sufit i oceniam moje postępowanie jako niewłaściwe, natomiast:

1) nieprawdą jest, że zostałem dłużny za rachunek 7.800 zł, gdyż kwota ta miała być rozdzielona na wszystkich, a przypadającą na mnie część (2.000 zł) wniosłem uwzględniając koszta naprawy sufitu.

2) Nieprawdą jest, jakoby pod wpływem strzałów zebrani w popłochu opuścili lokal. Zebranie miało się ku końcowi i obecni zaczęli rozchodzić się normalnie do domu.

3) Nieprawdą jest, że zostały potłuczone kieliszki, natomiast prawdą jest, że zostały zniszczone 1—2 żarówki.

Następuje nazwisko i adres. Wysłaliśmy tam natychmiast [illegible] treści następującej: „Wal pan w te pędy z bronią i forsą do Warszawy stop zabawimy się na cały regulator stop przywieź pan zapas żarówek stop o resztę nie martw się pan“.

Z DZIEJÓW PLASTYKI

Z pisma „Moda i Życie“ (nr 5): *Na kilka wieków przed Nar. Chrystusa wsławili się greccy rzeźbiarze: Fidiasz, Praksyteles. Z tych czasów słynny jest posąg cesarza Marka Aureliusza.*

Informację tę znajdujemy w artykule pt. „Zapamiętasz to?...“ — Nie zapamiętam! Nie chcę!

PIES I CZŁOWIEK

Ze streszczenia poprzednich rozdziałów powieści, drukowanej w „Życiu Warszawy“ (nr 46):

W dalszej swej wędrówce napotyka Mieriesjew zniszczony „Dom Dziecka“. Wygłodniały pies trzyma w rękach ochłap ludzkiego ciała.

Łapę zapewne.

SEX-APPEAL

Recenzja z koncertu w „Życiu Olsztyńskim“ (nr 47):

W każdym razie śpiewak zrobił jak najlepsze wrażenie nie tylko tym, że jest mężczyzną, ale i swoim pełnym, swobodnym, ładnym głosem.

Recenzja podpisana jest pseudonimem „Allegro“. Nie wiemy, czy to mężczyzna czy kobieta. A to by nam dużo wytłumaczyło.

SKOMPLIKOWANA SPRAWA

Upraszamy o uważne przeczytanie poniższej wiadomości, zamieszczonej w nr. 47 „Wieczoru“:

4 Żydów oddali na pastwę Arabom Anglicy

Oddział żołnierzy brytyjskich, którym dowodził starszy sierżant aresztował pięciu członków Hagany na punkcie obronnym w dzielnicy Jerozolimy, Beit Izrael.

Po skonfiskowaniu broni u wszystkich aresztowanych, żołnierze zwolnili dziewczynę, a mężczyzn i dziewczynę uprowadzili do daleko położonej poza murami miasta dzielnicy arabskiej, gdzie pozostawili ich na pastwę rozjuszonych band arabskich. Po drodze zbiegł chłopak i dziewczyna.

Po upływie trzech godzin znaleziono ich ogołocone ciała, przeszyte kulami i pokłute sztyletami.

Brytyjski komunikat wojskowy donosi, iż w trakcie dochodzenia w sprawie zbrodni dokonanej na czterech członkach Hagany, został aresztowany starszy sierżant, dowódca oddziału.

Koronnymi świadkami oskarżenia są chłopiec i dziewczyna, którzy zdołali wymknąć się patrolowi żołnierskiemu podczas, gdy ich czterej towarzysze prowadzeni byli na miejsce kaźni.

Trzy dni i trzy noce obliczaliśmy, sprawdzali; dodawali, odejmowali — bez żadnego rezultatu. Kto z czytelników wytłumaczy nam: kto? ile? kogo? jak? etc.

KLE-KLE...

Z „Wieczoru“ (15.II):

Najlepsi biegacze

Bociany mogą przebiec wedle zdania zoologów w jednym dniu przestrzeń wynoszącą 240 km.

Owszem, mogą. Cóż, kiedy nie chcą. Wolą latać.

TAJEMNICZA HISTORIA

Leży przed nami dokument, niewątpliwie autentyczny, wystawiony przez sołtysa jednej z gromad Rzeczypospolitej. Oto jego dosłowne brzmienie (z opuszczeniem nazwisk i nazwy miejscowości):

Zaświadczenie

Zaświadczam, że obywatelka (N.N.) zamieszkała w gr. (X) posiada 15 ha roli ogolem jest wdowa do opracowania jej Gospodarki ma 3 curki. Amalia najstarsza poszła na szkołę Rolniczą. Dwie curki które są jeszcze w doma które sa obowazane 3 razy do tydnia na kusy chodzic jest niemożliwo oprocz posiada buchaja który rozpłodnik. Tak prosi aby jei jedna curka bya zwolniona od tych Kursow.

Nie śmiemy wyrażać żadnych daleko idących domysłów, ale prośba o zwolnienie jednej córki z chodzenia na kursy natrętnie kojarzy nam się z faktem posiadania prze[illegible]

ROZMARZONY ORGANIZM

„Express Wieczorny“ (nr 45) w rubryce „Rozmowy z pedagogiem“ udziela odpowiedzi jednej z czytelniczek:

W Pani wieku (18 rok życia) jeszcze niewiele wie się o miłości i bierze się za to uczucie po prostu normalne rozmarzenie rozwijającego się organizmu.

Nr 150 i Nr 151

„Tygodnik Powszechny“ (nr 150) słusznie występuje przeciw dziwolągom „terminologii rocznicowej“:

Bardzo często używa się u nas zwrotu: „Pięćdziesięcioletnia rocznica“, „dwudziestopięcioletnia rocznica“ itp. Dziwolągi te ukazują się nie tylko w wydawnictwach lżejszego autoramentu lub na afiszach w powiatowych miasteczkach. Oto w nr. 3 (124) „Kuźnicy“ czytamy w „Przeglądzie prasy“ o trzydziestoletniej rocznicy.

I już w następnym, 151-szym, numerze tegoż „Tygodnika Powszechnego“ czytamy:

Towarzystwo Miłośników Historii i Zabytków Krakowa, pragnąc w związku ze zbliżającą się stuletnią rocznicę 1848 r. ożywić wśród młodzieży krakowskich szkół wyższych studia nad przeszłością Krakowa (itd.).

Chopin w Belwederze

W 138-mą rocznicę urodzin Chopina grał na fortepianie Chopina, w Belwederze, Raoul Koczalski.

Przyjęcie u Prezydenta Bieruta dalekie było od jakiejś historycznej rekonstrukcji. Wprawdzie w tych samych pokojach grał młody Chopin, wprawdzie jego fortepian stał w belwederskiej sali i uczeń jego ucznia, Mikuliego, wykonywał program, lecz sens tej uroczystości był inny:

Prezydent Bierut chciał niewątpliwie wskazać na ważność spraw kulturalnych, zapraszając do Belwederu na koncert Rząd, korpus dyplomatyczny i reprezentantów Związków Zawodowych, artystycznych i naukowych. Był to bardzo prosty sposób wskazania raz jeszcze, że należy u nas zerwać z tradycyjnym „odgórnym lekceważeniem życia artystycznego“.

Do lekceważenia tego byliśmy — niestety — długo przyzwyczajeni. Chopin w Belwederze był jedną więcej oznaką, że z tradycją tego lekceważenia trzeba zerwać od góry do dołu.

Chopin, jako symbol naszych uniwersalnych w dziedzinie piękna możliwości, brzmiał skromnie, trochę staroświecko i bardzo „po domowemu“, bardzo „po prostu“ w belwederskich salonach. A jednocześnie w zestawieniu tym było dużo rozmachu, tego rozmachu, który nosimy w sobie, gdy mówimy: „odbudujemy Warszawę“, tego rozmachu, który wywiózł z Warszawy autor Polonezów i Etiud.

mc

Korespondencja

JESZCZE O SZTYRMERZE

Do redaktora „Odrodzenia“

W nr. 168 „Odrodzenia“ zamieszczony został list p. Aleksandra Śnieżki z opisem grobowca Ludwika Sztyrmera i jego żony Eleonory na cmentarz na Rossie. P. Śnieżko m. in. podał tekst wiersza, wyrytego na frontowej ścianie grobowca. Godzi się może dodać, że jest to przeróbka początku wiersza Sztyrmera pt. „Żal dziewczyny“. Tekst sztyrmerowski brzmi jak następuje:

W zimny grób go
Położyli,
Ziemią pierś mu
Przytłoczyli,
A nad głową
Dla pamięci
Postawili
Krzyż drewniany,
Prosty krzyż!

„Żal dziewczyny“ był zamieszczony w drugim tomie „Powieści nieboszczyka Pantofla“ (Wilno, 1844), jako jeden z wierszy rzekomo „znalezionych“ w jego papierach. Moniuszko napisał muzykę do tego wiersza.

Wacław Borowy (Warszawa)

W poprzednim 9 (170) numerze „Odrodzenia“ z dnia 29 lutego 1948 r.: **Tadeusz Borowski:** Małe i wielkie legendy. — **Stanisław Stempowski:** Dwa niedoszłe pojedynki. — **Jerzy Borejsza:** Na rogatkach kultury: Kawiarniani klasycy. — **Mieczysław Jastrun:** Widmo domu. — **K. I. Gałczyński:** Do mowy polskiej. — Klub „Odrodzenia“ otwiera dyskusję. — **ek:** Instytut literacki. — **Tadeusz Breza:** Jubileusz trzynastki. — **Andrzej Kruczkowski:** W pierwszej fazie „Sygnałów“. — **Laryssa Zajączkowska:** Muzułmańska babulenka i słowiańscy bracia chińscy. — **Jerzy Andrzejewski:** Kartki z dziennika lektury: Zapomniany Perzyński. — **kjw:** Szkoła krytyków: Życie literackie, czyli ujawnione kryjówki. — **Zygmunt Mycielski:** Notatnik muzyczny: Koczalski, Hlounova, Rowicki. — **Stanisław Gogluska:** Książka francuska droższa 58 razy. — Korespondencja (**J. Sobieszek, Stefan Chmielnicki, Mieczysław Bieganski**). — Niemcy sprzed 30 lat w rysunkach Georga Grosza. — Tydzień bibliograficzny — Jak angielski „Punch“ widzi Niemca? — Camera obscura. — 15 ilustracji. — 8 stron.

REDAGUJE ZESPÓŁ: Adres redakcji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 16, telefon 85-588 — Redaktor przyjmuje od godz. 9 do 10. — Adres administracji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 14, telefon 87-112 Konto w PKO nr I-4739.
Drukarnia nr 2 „Czytelnik“, Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna 80 zł, kwartalna 240 zł B-48332 Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik“